Nr 19 (328) 8. V. 1955 r. Cena 35 gr

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

DZIŚ w numerze

- Wielki Jubileusz str. 2
- Prof. Hochfeld odpowiada str. 3
- Czas umarłych str. 4
- Regulamin OSOSO str. 6
- 17 uśmiechów konkursowych str. 3, 6 i 8

NARESZCIE WIOSNA

Przedsierpniowe „wycieczki"

Zacznę od wspomnienia o zdarzeniu, które brzmi jak anegdota. W pewnym powiecie przeprowadzono zakrojone na szeroką skalę prace melioracyjne i młodzież społeczne pomagała przy odwadnianiu. W wiosennych sprawozdaniach Zarządu Powiatowego ZMP widniało, że młodzież dla uczczenia święta 1 Maja pomaga przy melioracji. Później to samo robiła w czynie lipcowym i dla uczczenia rocznicy rewolucji. Czyniła to również „w ramach" walki o zwiększenie obszaru zasiewów, „w ramach" szkolenia agrominimum (zajęcia praktyczne) itd. itd.

Na każdą okazję i w każdej rubryce sprawozdań i ankiet ZP widniała owa uniwersalna melioracja, której przydawano coraz to nową etykietę. A młodzież pracowała nie dla uczczenia, bez „ram", pracowała po prostu po to, by bagna zamienić w ogromnie potrzebne na tym terenie łąki.

MOJA GŁOWA ŚWIADCZY O MNIE

W świetle tych, przebrzmiałych już zresztą, wydarzeń nie zdziwiło mnie zbytnio, że w planie pracy przedfestiwalowej na Uniwersytecie Warszawskim widnieją takie pozycje jak odczyt tow. Kałuskiego „O socjalistycznym wychowaniu młodzieży", czy udział studentów w brygadach żniwnych. Mimo że skądinąd pożyteczny odczyt tow. Kałuskiego nie ma nic wspólnego z Festiwalem, a studenci jadą na wieś nie dlatego, że będzie Festiwal, ale ponieważ dla dobra naszej gospodarki trzeba pomóc przy żniwach — nie chcę wcale „czepiać się" planu przedfestiwalowego UW. Pragnę jedynie przy tej okazji powiedzieć kilka słów na temat sensu pracy przedfestiwalowej w ogóle.

Jeśli studenci stołecznego Uniwersytetu zgłaszają się jako tłumacze, pracują przy budowie praskiego stadionu, czy przygotowują się do spotkań z zagranicznymi gośćmi (opracowując tematy, które będą przedmiotem wspólnych dyskusji) to nie ma tu wątpliwości co do sensu tego rodzaju działalności. Wszystko to służy bezpośrednio Festiwalowi. Gdy jednak komitet festiwalowy UW projektuje np. odczyt na temat tradycji Uniwersytetu, spotkanie z Żukrowskim poświęcone Wietnamowi, czy spotkanie z francuskimi studentami, a koło ZMP IV roku polonistyki planuje poświęcenie jednego z zebrań aktualnym problemom polityki międzynarodowej — to warto tu już wyjaśnić, dlaczego tego typu cenne zamierzenia mają właśnie przedfestiwalowy charakter.

Jeśli w rocznicę śmierci Majakowskiego prasa poświęca wiele miejsca jego twórczości i życiu — czyni to nie dlatego, że taki jest rocznicowy zwyczaj, ale ponieważ 25-lecie — to okazja, by zapoznać ludzi z jego dziełami i przypomnieć sylwetkę poety. Podobnie Festiwal jest okazją sprzyjającą rozwinięciu wielu atrakcyjnych i nowych form pracy.

Cierpimy ciągle na ubóstwo wiedzy o świecie, o problemach ekonomiki, polityki, kultury i sztuki różnych krajów. I oto jak manna z nieba spłynie do nas w sierpniu wielotysięczna rzesza ludzi reprezentujących różne kierunki w polityce, nauce i sztuce. Wspaniała to okazja, by wzbogacić naszą wiedzę i na samym Festiwalu i w okresie, który go poprzedza.

W zamierzeniach Uniwersytetu Warszawskiego widnieje wiele ciekawych projektów. Na przykład wieczór poezji i prozy francuskiej czy spotkanie na antenie radiowej: „Młodzież Warszawy rozmawia z młodzieżą Paryża o Festiwalu". Na SGPiS odbyło się spotkanie ze studentami greckimi i niemieckimi, na którym goście opowiadali o obyczajach i kulturze swych narodów, uczyli pieśni i tańców. Przykłady wybrane są spośród wielu innych. Ta strona działalności rozszerzająca nasze horyzonty, wzbogacająca wiedzę o świecie — ma głęboki sens właśnie przed Festiwalem. Na UW tak jednak się dzieje, że o ile plany imprez ogólnouczelnianych są bogate, ciekawe, przemyślane i co najważniejsze — realizowane, o tyle gorzej jest z pracą przedfestiwalową wydziałów i kół. Na przykład wydział filozofii złożył w ZD ZMP plan zawierający wiele ciekawych pozycji. M. in. figuruje tam odczyt Kałużyńskiego o literaturze francuskiej, wspomnienia profesora Hochfelda ze studiów we Francji itp. Jest tych pozycji jednak tak wiele, że chyba co dzień przypadałaby jakaś poważna impreza, gdyby ów plan w pełni był realizowany. I któż tu uwierzy w jego realność? A natomiast wydział filologii (to znaczy jego Zarząd Wydziałowy ZMP) nie ma żadnych poważniejszych zamierzeń.

Konieczne jest przepojenie treściami festiwalowymi pracy kół zetempowskich po pierwsze dlatego, że imprezy ogólnouczelniane siłą rzeczy wszystkiego nie obejmują, po drugie dlatego, że praca ta winna uwzględniać szczególne zainteresowania młodzieży danego wydziału, związane z jej kierunkiem studiów.

Na Uniwersytecie uderza też w oczy ubóstwo form. Dyskusja, spotkanie, referat — oto co dominuje w zamierzeniach kół i Zarządów Wydziałowych. Podobno gdy Zarząd Dzielnicowy zaproponował sporządzenie podarków dla gości — zapanowała istna albumomania. Kto żyw, każdy wydział, każde koło zabrało się do robienia albumów.

Festiwal zaś powinien chyba nastręczać mnogość nadzwyczaj ciekawych pomysłów, które w sposób trwały wzbogaciłyby formy naszego życia społecznego i kulturalnego. Proponujemy, by nieco nad nimi pomyśleć i rzucamy jedną odmianę modnego ostatnio hasła, które tu powinno brzmieć:

Moja głowa świadczy o mnie.

MOŻE W MAJU, MOŻE W GRUDNIU...

Jest maj i egzaminy na karku. Czego w ciągu najbliższych dwóch tygodni się nie zdziała, to już pozostanie tylko w teczkach wypchanych planami. Dlatego też nie mają sensu tasiemcowe spisy zamierzeń z góry skazanych na wieczne bytowanie na papierze. Natomiast owa jedna lub dwie imprezy, które można jeszcze urządzić, powinny być tak pomyślane, by były ciekawe i naprawdę nas wzbogacały. Stanie się tak wówczas, gdy sięgniemy w dyskusjach i referatach do nieznanych problemów, spraw ciekawych, dyskusyjnych.

Sztuka polega też na przepojeniu pracy społecznej i kulturalnej treściami festiwalowymi. Jednak nie przy pomocy etykietowania, zawieszania festiwalowych szyldów nad sesją egzaminacyjną, brygadami żniwnymi czy dyskusją nad „Godziną smutku" Konwickiego, jak to czyni Zarząd ZMP wydziału filozofii UW. Natomiast dyskusja nad jakimś problemem z dziedziny polityki międzynarodowej ma pełny

(Dokończenie na str. 7)

Z okazji 10 rocznicy zakończenia wojny

Do pana Bruno Neurode byłego esesmana — list otwarty

Panie Neurode!

Tak się składa, że znam pana. Gdyby pan przeczytał te słowa odparłby pan niechybnie, że nie przypomina sobie, że chyba nie miał przyjemności...

A jednak znam pana dobrze, chociaż nigdyśmy się nie spotkali. Wiem jak pan wyglądał jako niemowlę, jako uczeń, student, urzędnik bankowy (pensja 283 zł) i dygnitarz łódzkiego gestapo w mundurze SS-mana. Wiem, że żonie pańskiej na imię Klara, a dzieciom — Klaus i Hilda. Wiem, że brał pan udział w hitlerowskich parteitagach. Wiem, że kolekcjonował pan skarbonki, był ubezpieczony na życie, a domyślam się, że w szczytowym okresie swej kariery mordował pan ludzi.

Wyjaśnię panu skąd się znamy, a właściwie skąd ja pana znam. Otóż 10 lat temu zaszły pewne historyczne wydarzenia, które sprawiły, że w nieco przyśpieszonym tempie wyniósł się pan z mieszkania, zajmowanego od 1939 roku, kiedy to ja je niezbyt dobrowolnie opuściłem.

Niedługo po pańskim „wyjeździe" w 1945 r. sprowadziłem się do mojego, przepraszam — pańskiego — mieszkania. Pamiętam, że na stole stał pieczony zając, którego nie zdążył Pan dojeść, w szafie wisiały pańskie mundury, które moja matka zamieniła w ścierki do podłogi (do dziś ich używa). W szufladach zaś leżały ładnie posegregowane fotografie. I stąd tak dokładnie znam pana — łódzkiego Niemca, ex gestapowca, ex pana świata a może nawet ex uczciwego człowieka (sięgam tu do niemowlęcego okresu pańskiego życia).

Domyśla się już pan zapewne, że list mój ma charakter rocznicowy. Mam nadzieję, że może jakimś cudem dotrze on do pana.

Zapewne bawi Pan obecnie w jednym z zachodnio-niemieckich miast, pracuje w banku i marzy o swym esesowskim mundurze i powrocie do mego mieszkania. Rozumie pan zapewne, że moje marzenia są wręcz odwrotne. Chciałbym tylko przekonać pana, że są realniejsze od pańskich.

Kiedy w 1939 roku wraz z garnkami, meblami i familią wprowadzał się pan do mojego mieszkania, sądził pan, że pozostanie w nim już na zawsze, że zawsze będzie pan rano wdziewał czarny mundur ze srebrnymi galonami i zawsze nosił tytuł współwładcy świata i nadczłowieka. Potem przyszedł Stalingrad, rozczarowanie (pańskie oczywiście) ucieczka (znów pańska) i pokój.

Pan marzy o odwecie. Zasmakował pan w wojnie i faszyzmie. Ja poznałem smak wolności i pokoju, tak jak wszyscy moi rodacy, tak jak większość pańskich rodaków. Zwolenników moich gustów i pragnień są setki milionów. Ludzi myślących tak jak pan — o wiele, wiele mniej. Fakt ten poddaję panu pod rozwagę.

Był rok 1945, 1946, 1947, 1948. Pan stulił wówczas uszy po sobie, nie dojadał i bał się, czy aby sądy nie przypomną sobie pańskiej działalności w gestapo. Dzięki opiece zaatlantyckich kompanów uniknął pan przykrości. Moi rodacy wówczas odbudowywali to, co zniszczyli pan i pańscy koledzy.

Później nadeszły lata 1949, 1950, 1951, 1952, 1953, 1954 i rok bieżący. Odżyły w panu nadzieje. Dziś już pan wie, że nie trzeba się obawiać kryminału, ma nadzieję, że Ameryka zorganizuje wojenkę, pan wdzieje mundur i wszystko będzie po staremu. Prawdopodobnie chodzi pan na zebrania neohitlerowców, śpiewa „Deutschland Deutschland" i domaga się marszu na Wschód. (Przychodzi to panu tym łatwiej, że całą wojnę przebywał pan na tyłach).

W ciągu tych lat moi rodacy zbudowali w Polsce potężne państwo z potężnym przemysłem i takąż armią. I to, państwo, które wszystkim dało owo minimum ziemskich dóbr i ziemskiego szczęścia, dało też jednocześnie perspektywę pięknej przyszłości, długich lat życia w pokoju, porywające idee, dla których warto żyć i pracować.

Nie będę pana nużył opisywaniem tego, co przez dziesięć lat zmieniło się w mojej ojczyźnie. Panu to będzie niemiłe, polskim zaś czytelnikom niniejszego listu jest doskonale znane.

Kraj mój niewiele przypomina ten, który pamięta pan sprzed 19.9 roku. A do tego Polska nie jest sama. Naszym sojusznikiem jest Związek Radziecki, to samo państwo, którego armia sprawiła, że w takim pośpiechu opuszczał pan Łódź. I jeszcze, aby wzbogacić pańskie wiadomości o świecie, dodam, że Chiny — według ostatniego spisu ludności — liczą 600 milionów mieszkańców oraz produkują niezłe podobno odrzutowce. A naszym sąsiadem i przyjacielem jest pokojowe państwo — NRD.

Co jeszcze panu by powiedzieć? Może o ogarniającym cały świat ruchu pokoju, którego istnienie zapewne pan zauważył? A może o ostatnich wydarzeniach politycznych? Jest pan człowiekiem światłym, czytuje gazety, może kłamiące, ale bądź co bądź gazety.

Odbyła się, jak pan wie, konferencja w Bandungu, na której kraje dwóch wielkich kontynentów skupiających blisko połowę ludzkości zgodnie oświadczyły, że pragną pokoju i współistnienia, zamierzają nawzajem szanować swą niezawisłość i nie dopuścić do wojennych konfliktów. Pozwolę sobie też przypomnieć o rozmowach delegacji rządu Austrii z rządem ZSRR, które niechybnie przyspieszą podpisanie traktatu pokojowego z sąsiadem Niemiec. Wspomnę jeszcze o oświadczeniach szefów rządów mocarstw zachodnich, w których wyrażają oni zgodę na przeprowadzenie pokojowych rozmów z ZSRR, mających na celu zażegnanie istniejących konfliktów.

Te wszystkie fakty świadczą o tym, że mimo montowania wojennych paktów, mimo istnienia prób wskrzeszenia pańskiego Wehrmachtu — idea pokojowego współistnienia ma pełne szanse królowania w świecie.

Tych kilka znanych skądinąd prawd przytoczyłem z okazji 10 rocznicy podpisania kapitulacji Niemiec hitlerowskich. W związku z tym donoszę Panu, że my, Polacy, i nasi przyjaciele z wszystkich krajów świata, włącznie z wieloma lokatorami domu, w którym pan mieszka w swym zachodnio-niemieckim mieście — mocno wierzymy, że dalej będziemy mogli żyć w pokoju, że nigdy nie ujrzymy ani pana, ani pańskich kolegów w mundurach, że dalej będzie rosnąć nasza siła i nasze szczęście.

Pozdrawiam Pana i życzę, aby nigdy nie spełniły się pańskie marzenia, aby dokonał pan życia jako urzędnik bankowy (skoro już ominęła pana ręka sprawiedliwości) i aby pański syn i córka nie myśleli tak jak pan.

Na koniec pragnę pana poinformować, że nasze mieszkanie (Łódź, Piotrkowska 134, I piętro, oficyna) zostało niedawno odnowione. Zdarto przy okazji pańskie ohydne tapety. Mieszka w nim obecnie pewien wybitny profesor medycyny trudniący się leczeniem dzieci.

Z poważaniem

JERZY URBAN

Czy zdradziłem?

(list do redakcji)

KOLEGO REDAKTORZE!

Z pewnym opóźnieniem, ale za to z uwagą przeczytałem w 15 numerze POPROSTU Wasze „Zamiast artykułu". Uważam, że artykuł ten jest bardzo słuszny. Mówię tak, mimo iż jestem jedną z negatywnych postaci przez was napiętnowanych.

Przedstawiliście mnie jako dobrze umięśnionego sportowca pozbawionego dodatnich cech moralnych, który zdradził kolegów dla pieniędzy. Jest to dla mnie bolesne, nie mogę jednak mieć o to do Was pretensji — napisaliście tak na podstawie faktów, które mnie oskarżają.

Kulisy tej sprawy były jednakże trochę inne niż piszecie. Sami zresztą osądźcie co było powodem mego postępowania.

Przesyłam Wam kilka kopii pism, które traktują o sytuacji w jakiej znalazłem się rok temu. Zwróćcie uwagę na odpis odpowiedzi Prez. M.R.N.

Prezydium
Miejskiej Rady Narodowej
w Gliwicach

Wydział Kwaterunkowy
Nr. Kw. II/5/114/III/54

Gliwice, dnia 10 sierpnia 1954 r.

Ob. Wojtowicz Andrzej
G l i w i c e
ul. Arkońska 5/4

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Wydział Kwaterunkowy w Gliwicach rozpoznawszy wniosek Ob. z dn. 9 II.54 r. o przydzielenie mieszkania postanowiło na mocy art. 72 rozp. Prez. RP o postępowaniu administr. (Dz. U. R. P. nr 36 poz. 341 z 1928) sprawę wniosku zawiesić albowiem z uwagi na brak mieszkań przy jednoczesnym przeludnieniu miasta nie jest w możności przydzielenia mieszkania na tut. terenie.

Pouczenie.

Na mocy art. 84 powołanego na wstępie rozporządzenia od niniejszej decyzji odwołanie nie przysługuje.

Z-ca Kierownika Wydziału
(podpis nieczytelny)

A oto ciąg dalszy.

Na wiosnę 1954 r. „Kolejarz" dał mi „ultimatum": **jeśli podpiszę zgłoszenie do „Kolejarza" dostanę natychmiast mieszkanie.** A jeśli nie? Minęło pół roku od czasu, kiedy zawarłem związek małżeński, a żona moja nie mogła w dalszym ciągu przyjechać do Gliwic. Jeśli nie — to poczekamy jeszcze może 5 lat, a może więcej...

Uważałem, że nie mam wyboru. Wszystkie moje próby wybrnięcia z tego rozbiły się o mur urzędowej obojętności.

Z przykrością, nieomal ze wstrętem — podpisałem.

Nie chcę się rozgrzeszać. Przyznaję: popełniłem błąd. Może było jednak inne wyjście z tej sytuacji?

Ale już od dawna chcę ten błąd naprawić.

„Kolejarz" ofiarował mi (co prawda nie tak „natychmiast") dwupokojowe mieszkanie (Gliwice, ul. Okrzei 23-2), ale odmówiłem, mimo że dalej mieszkania nie mam. (Udało mi się na jesieni sprowadzić żonę do Gliwic, lecz mieszkamy dotychczas w przechodnim pokoju (mając do tego urzędowy nakaz wyprowadzenia się z tego pokoju w przeciągu 15 dni).

Jak widzicie pod tym względem wiedzie mi się niezbyt dobrze, ale czuję się szczęśliwy, że nie przyjąłem tamtej „zapłaty".

Kończę na tym i myślę, że ten list przyczynić się może w pewnej mierze do wyjaśnienia mojej sprawy.

Ze sportowym pozdrowieniem

ANDRZEJ WOJTOWICZ
Gliwice, Krakusa 13-3

OD REDAKCJI:

List powyższy otrzymaliśmy w odpowiedzi na nasz artykuł wymierzony przeciw kaperownictwu, w którym potępiliśmy brudne metody zdobywania zawodników stosowane przez niektórych działaczy sportowych.

Jest to alarmujący sygnał dla Głównego Komitetu Kultury Fizycznej, (który, mamy nadzieję, natychmiast wyciągnie wnioski z problematycznej pracy politycznej w „Kolejarzu"); powinien zainteresować on również Wojewódzki Komitet PZPR, ponieważ omawiany wypadek nie jest niestety sporadyczny.

Przed wszystkimi działaczami i sympatykami sportu staje poważne zadanie wyplenienia chwastów i oczyszczenia z brudów kaperownictwa naszych sportowych zrzeszeń. W walce o prawdziwe piękno, o etykę polskiego sportu nie może zabraknąć młodzieży. Czekamy na dalsze sygnały z terenu!

P. S. Sprawę przydziału mieszkania inż. Andrzejowi Wojtowiczowi kierujemy raz jeszcze do Wydz. Kwat. MRN, chociaż z „pouczenia" zawartego w ich odpowiedzi wynika, że ustawa przewidująca zapewnienie mieszkania absolwentom wyższych uczelni w Gliwicach nie obowiązuje (!). Łudzimy się, że sprawa ta może zostanie potraktowana w y j ą t k o w o.

WIELKI JUBILEUSZ

Wywiad z rektorem Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego im. M. W. Łomonosowa — towarzyszem I. Pietrowskim — członkiem rzeczywistym Akademii Nauk ZSRR

W przeddzień uroczystego Jubileuszu 200-lecia Uniwersytetu Moskiewskiego przedstawiciel naszego pisma zwrócił się do rektora I. Pietrowskiego z prośbą o zapoznanie czytelników POPROSTU z historią tej uczelni. Oto co oświadczył towarzysz I. Pietrowski naszemu korespondentowi:

Dzień 7 maja 1955 roku będzie dla narodów radzieckich oraz licznych naszych przyjaciół i uczonych za granicą wielkim świętem nauki i kultury. W dniu tym Uniwersytet Moskiewski obchodzi swoje 200-lecie.

Uniwersytet nasz jest najstarszą i przodującą uczelnią radziecką. Piętnaście lat temu nagrodzono go najwyższym odznaczeniem państwowym — Orderem Lenina — i otrzymał wtedy zaszczytne imię swojego założyciela, koryfeusza nauki rosyjskiej — M. W. Łomonosowa.

Od chwili swego powstania Uniwersytet Moskiewski był ogniskiem postępowej myśli naukowej i idei demokratycznych. Językiem wykładowym uczelni, w odróżnieniu od zagranicznych uniwersytetów, był język ojczysty, a nie łaciński.

Uniwersytet Moskiewski był jedynym bodaj że uniwersytetem na świecie, w którym nie wykładano teologii. Fakt ten posiada olbrzymią wymowę. Niemniej myśl materialistyczna napotykała w warunkach Rosji carskiej na olbrzymie trudności i przeszkody. Pierwsza w historii Uniwersytetu Moskiewskiego dysertacja naukowa D. Aniczkowa, rozpatrująca z pozycji materialistycznych zagadnienie dotyczące pochodzenia religii, została w roku 1769 publicznie spalona.

Szermierzom wstecznictwa i reakcji nie udało się opanować katedr i audytoriów Uniwersytetu. Spośród uczestników powstania dekabrystów co trzeci spiskowiec — patriota był wychowankiem tej uczelni. Z nazwą Uniwersytetu Moskiewskiego związane są również nazwiska pierwszych ideologów rosyjskiego ruchu rewolucyjno-demokratycznego — Bielińskiego, Ogariewa i Hercena, nazwiska pisarzy o światowej sławie — Lermontowa, Turgieniewa, Aleksandra Ostrowskiego i Czechowa, słynnego chirurga Pirogowa, wielkich uczonych — Sieczenowa, Pawłowa i Timiraziewa, artystów i działaczy teatralnych — Jermołowej, Sobinowa, Wł. Niemirowicza-Danczenko i wielu, wielu innych.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia na Uniwersytecie powstały pierwsze studenckie kółka marksistowskie. W latach dziewięćdziesiątych studenci nawiązują kontakt z robotnikami. Wśród działaczy moskiewskiego „Związku Robotniczego" znani są Dymitr Uljanow (brat Lenina) i M. Władimirski, którzy studiowali na naszej uczelni.

Gdy w roku 1905 płomień pierwszej rewolucji rosyjskiej ogarnął imperium carskie, w Uniwersytecie Moskiewskim działała aktywnie organizacja bolszewicka. W aulach i audytoriach odbywały się wiece i zebrania robotników i studentów, w drukarni uczelnianej odbijano rewolucyjne ulotki i wezwania, w laboratoriach chemicznych przygotowywano materiały wybuchowe dla walk na barykadach. Lenin nazwał tę uczelnię dumnym mianem „rewolucyjnego uniwersytetu".

Zwycięstwo Rewolucji Październikowej otwarło na oścież wrota Uniwersytetu dla młodzieży robotniczej i chłopskiej.

Władza radziecka skierowała do pracy na Uniwersytecie wybitnych działaczy państwowych — A. Łunaczarskiego, W. Adoratskiego, N. Siemaszko, W. Wołgina. Rektorem uczelni mianowany został tow. Andrzej Wyszyński.

W przeddzień drugiej wojny światowej na Uniwersytecie studiowało około pięciu tysięcy studentów i aspirantów. Dziś liczba ta wzrosła prawie pięciokrotnie. Uczelnia kształci młodzież 59 narodowości, w tej liczbie blisko tysiąc studentów i aspirantów z Chin, Korei, Mongolii, Wietnamu, Polski, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Albanii i Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

W bieżącym roku jubileuszowym mury Uniwersytetu opuści 28-osobowa grupa polskich specjalistów-dyplomantów oraz pierwsi polscy absolwenci-aspiranci, młodzi kandydaci nauk. Niedawno pierwsi z nich obronili świetnie swoje dysertacje kandydackie — chemiczka Markowska i matematyk Bojarski.

Ilość dyplomantów, którzy w roku jubileuszowym opuszczą Uniwersytet, będzie rekordowa i wyniesie około 3.000 osób. W latach władzy radzieckiej Uniwersytet Moskiewski przygotował w sumie 45 000 specjalistów, znacznie więcej niż przez ponad półtora wieku, poprzedzające zwycięstwo Rewolucji Październikowej.

1 września 1953 roku otwarta została nowa wspaniała karta w historii naszego Uniwersytetu — na Wzgórzach Leninowskich oddany został do użytku Pałac Nauki, w którym znalazły pomieszczenia wydziały: mechaniczno-matematyczny, geologiczny i geograficzny. Wydziały fizyczny, chemiczny i biologiczny otrzymały własne kompleksy gmachów w bezpośrednim sąsiedztwie wysokościowca. „Kombinat Wiedzy" na Wzgórzach Leninowskich składa się z 27 głównych i 30 pomocniczych budynków. Ogółem zaś Uniwersytet liczy 12 wydziałów, na których wykłada i prowadzi prace nakowo-badawcze ponad 2 000 uczonych, w tej liczbie 99 członków rzeczywistych i członków-korespondentów Akademii Nauk ZSRR i 400 profesorów. Nazwiska akademików A. Niesmiejanowa, W. Winogradowa, A. Oparina, O. Szmidta, prof. A. Pankratowej (niesposób wyliczyć wszystkich) znane są daleko poza granicami Związku Radzieckiego.

W ten sposób spełniło się marzenie wielkiego Łomonosowa, który tak bardzo pragnął, by jego ojczyzna posiadała „swoich własnych Platonów i Newtonów rozumem bystrych".

Rozmowę przeprowadził:
W. KURDOW

Nowy gmach Uniwersytetu na Wzgórzach Leninowskich.

Komsomolcy — gorące serca

„Komsomolcy — gorące serca" — tak mówi o nich jedna z najpopularniejszych pieśni młodzieży radzieckiej. Komsomolcy Uniwersytetu godni są tego miana. Tomy można poświęcić historii uniwersyteckiego Komsomołu. Niech mówią same za siebie fakty, które posłużyły za podstawę tych kilku niewielkich szkiców.

*

Jest pochmurny listopadowy ranek 1917 roku. Na ulicach Moskwy rwą się pociski, świszczą kule, rozlega się dumna pieśń rewolucji. Toczą się walki na barykadach. Na Ostożence oddział junkrów stara się obejść z tyłu pozycje czerwonogwardzistów.

— Za mną! Bij gadów! — rozlega się nagle wysoki dziewczęcy głos. Z bramy na wpół rozwalonego domu na junkrów uderzają studenci i młodzi robotnicy. Junkrzy cofają się bezładnie, zdziesiątkowani niespodziewaną salwą. Kula wroga dosięga jednak bohaterską dziewczynę w skórzanej kurtce, która powiodła do szturmu oddziałek robotniczo-studencki. Lusia Lusinowa — pierwszy organizator Związku Młodzieży Robotniczej, z szeregów którego wyrósł następnie Komsomoł, pada na bruk jak przecięta brzózka. Obnażają się głowy żołnierzy rewolucji. Towarzysze Lusi — płaczą.

Imieniem Lusi Lusinowej nazwana została szkoła i jedna z ulic Moskwy.

Lusia była studentką Uniwersytetu Moskiewskiego.

*

Mijały lata. Na Uniwersytet przyszło nowe pokolenie — dzieci tych, którzy z bronią w ręku walczyli za władzę radziecką. Na wielkich budowach pięciolatek — w Komsomolsku, Stalingradzie, na Magnitce, Dnieprogesie i Uralmaszu pracowali wychowankowie Uniwersytetu Moskiewskiego.

Jeden z nich, Bohater Związku Radzieckiego, prof. Krenkel znalazł się na dryfującej krze pod biegunem północnym wraz ze słynnym Papaninem. Cały świat śledził z zapartym tchem walkę ekspedycji Papanina z lodami, z morzem, z prądami morskimi, z wiatrem, z białymi niedźwiedziami, z tysiącem niebezpieczeństw. Papanin i jego towarzysze pokonali Arktykę i wydarli jej cenne tajemnice. Dziś za kręgiem polarnym pracują badawcze stacje radzieckie „Biegun Północny — 4" i „Biegun Północny — 5". Wielu członków załogi tych ekspedycji wychowała także komsomolska organizacja Uniwersytetu.

*

Cofnijmy się jednak nieco wstecz. Jest upalny czerwiec 1941 r. Właśnie na wydziale fizycznym studenci II roku zdają ostatni egzamin.

Otwarły się drzwi od sali egzaminacyjnej i na korytarz wyskoczyła uszczęśliwiona Katia Riabowa.

— Dziewczęta, piątka!

Wieczór był piękny, pogodny. Następnego dnia, w niedzielę, koleżanki umówiły się na wycieczkę za miasto. Katię rozbudziła wczesnym rankiem matka.

— Wstawaj, córeczko. Wojna.

Katia natychmiast pojechała na Uniwersytet. Zebrali się tutaj wszyscy prawie studenci ich roku. Chłopcy żegnali się z dziewczętami — prawie wszyscy szli ochotniczo na front. Katia z koleżankami pracowała w sowchozie, potem kopała okopy pod Możajskiem. W październiku, gdy wróg zagrażał Moskwie, Katia Riabowa i jej koleżanki — Gaszewa, Paśko, Rudniowa, Zubkowa i Radczikowa zgłosiły się do Centralnego Komitetu Komsomołu i zażądały wysłania ich do szkoły lotniczej. Wkrótce kobiecy pułk lotniczy skierowany został na front. Niedoszły fizyk Katia Riabowa została szturmanem bombowca.

Gdy w maju 1945 r. oficer Riabowa wróciła na swój Uniwersytet, pierś jej zdobiła Złota Gwiazda Bohatera Związku Radzieckiego.

Dziś Katarzyna Riabowa zdobyła tytuł kandydata nauk i wykłada fizykę na Uniwersytecie Moskiewskim.

*

I jeszcze dwie krótkie sceny wybrane na chybił trafił z ostatnich powojennych lat.

Adik Tietierin dokończył przerwane studia dziennikarskie po powrocie z I Armii Wojska Polskiego, dokąd skierowany został jako radziecki oficer-instruktor do pomocy polskim towarzyszom. W Wojsku Polskim Tietierin nauczył się mówić i czytać po polsku. Obecnie pisze on dysertację kandydacką, poświęconą polskiej gazecie — „Trybunie Ludu". Adik przyjaźni się ze studentami-Polakami i niedawno wystąpił jako recenzent pracy dyplomowej jednego z nich.

Inną drogą trafił na Uniwersytet komsomolec z obwodu Tambowskiego — Wiktor Kozłow. Z początku Wiktor ukończył szkołę rzemiosła artystycznego w stolicy i został budowniczym — rzeźbiarzem. Na Wzgórzach Leninowskich znalazł się już wtedy, gdy wielkie koparki ryły olbrzymi wąwóz pod fundamenty przyszłego Pałacu Nauki. Wiktor pracował na budowie aż do chwili jej ukończenia. 14 sierpnia 1953 roku zdał egzaminy na wydział geologiczny. Dziś jest na II roku studiów.

*

Oto oni — komsomolcy naszego Uniwersytetu. Ilu ich jest, tyle usłyszycie ciekawych życiorysów, ciekawych historii. Bo gorące serca nie mogą żyć bez czynu. Gorące serca — płoną.

BORYS RUSINOW
stud. Moskiewskiego Uniwersytetu im. M. W. Łomonosowa

Polacy na Uniwersytecie Moskiewskim

Dwa razy do roku — 7 listopada i 1 maja listonosz przynosi na Uniwersytet Moskiewski sporą paczkę depesz z Polski. Absolwenci — Polacy, którzy pracują obecnie w kraju na polskich uczelniach i w zakładach przemysłowych pamiętają o swej macierzystej uczelni, o swych przyjaciołach radzieckich...

Na całe życie zachowa we wspomnieniach pobyt na Uniwersytecie Jerzy Pękala, były tokarz, który obecnie wykłada ekonomię polityczną na UMK w Toruniu, Paweł Glikman — pracownik PKPG w Warszawie, Kazimierz Nowicki — p.o. kierownika katedry na UMCS w Lublinie, Wadim Mietkowski — seminarzysta na Uniwersytecie Warszawskim, Helena Chojnacka — pracownik naukowy Instytutu Ekonomiki Rolnej, Barbara Stefaniuk z SGPiS i wielu, wielu innych. W 1952 roku ukończyło Uniwersytet Moskiewski dwóch studentów — Polaków, w latach 1953/1954 — 26 absolwentów wróciło do kraju, w tym zaś roku 28 polskich chłopców i dziewcząt broni dyplomów na przodującej uczelni świata. Ogółem na Uniwersytecie Moskiewskim, na wszystkich jego 12 wydziałach uczy się obecnie wielka, około 200-osobowa grupa polskich studentów i aspirantów.

Nie o tym jednak chcę mówić dzisiaj. Jubileusz zmusza niejako do spojrzenia w przeszłość. A takie spojrzenie dla nas, polskich studentów Uniwersytetu im. Łomonosowa, jest nadzwyczaj ciekawe i emocjonujące. Osądźcie zresztą sami.

Oto lata pięćdziesiąte dziewiętnastego wieku. Według kronik archiwalnych na Uniwersytecie Moskiewskim studiuje wówczas 475 Polaków. Zorganizowani w nielegalne koła patriotyczne, posiadają nawet własną tajną bibliotekę i tajną drukarnię. Doniesienie żandarmskie z dnia 28 lutego 1861 r. stwierdza między innymi, że Polacy zbierają się na swoje sejmiki kilka razy w tygodniu po 100 studentów i więcej, że posiadają własną kasę i nawiązali kontakty z rewolucyjnymi organizacjami w Królestwie Polskim.

U aresztowanego dnia 1 lipca 1862 roku studenta — Polaka P. Majewskiego władze carskie konfiskują odezwy i prasę w języku polskim, w tej liczbie drugi numer gazety „Młodzież polska", którą wydawali nielegalnie studenci na Uniwersytecie.

Nieliczne dokumenty z owych lat, jakie przetrwały do naszych czasów, pozwalają sądzić, że na Uniwersytecie Moskiewskim okrzepła silna grupa polskiej młodzieży rewolucyjnej — „czerwonych", zbliżona do podobnych grup na Uniwersytecie w Petersburgu i do tajnego stowarzyszenia oficerów - Polaków, na czele którego stał Jarosław Dąbrowski.

A oto druga karta z historii Polaków na Uniwersytecie Moskiewskim.

Koniec wieku dziewiętnastego. Polacy na Uniwersytecie zorganizowani są we własnym ziomkostwie „Kole". Ochrana moskiewska otrzymała sygnały, że „Koło" od chwili swego powstania stawiło sobie jako główne zadanie i cel — walkę polityczną. W „Kole" istnieją co prawda dwa skrzydła: „szlacheckie" i „patriotyczne", jednak po roku 1890 na czele ziomkostwa stoi silne lewe, radykalne kierownictwo. Wkrótce jego przywódcą oraz duszą staje się urodzony w Moskwie syn polskiego inżyniera - kolejarza Wacław Worowski. „Koło" rozszerza swą działalność na inne uczelnie moskiewskie, gdzie także studiują Polacy. Studenci nasi czytają wspólnie Marksa, Engelsa i Plechanowa, wydają rewolucyjne broszury w języku polskim i rosyjskim. Jednocześnie rozpowszechniają literaturę nielegalną, która nadchodziła z zagranicy — Liebknechta, Kropotkina, Ławrowa itd.

W mieszkaniu Worowskiego urządzony został cały skład nielegalnych książek i broszur. 22 kwietnia 1891 roku (to jest 3 maja według nowego stylu) odbyło się u Worowskiego zebranie członków „Koła", poświęcone 100-leciu pierwszej polskiej konstytucji. Policja dowiedziała się, że uczestnicy zebrania mówili o konieczności powiązania polskiego ruchu narodowo - wyzwoleńczego z ruchem rosyjskim, z rosyjską socjaldemokracją. Jak wiadomo, Worowski został później uczniem Lenina i płomiennym działaczem partii bolszewickiej. Znamy go także jako świetnego krytyka i publicystę partyjnego, następnie zaś jako jednego z pierwszych dyplomatów radzieckich. Zdradziecka kula białogwardzisty trafiła go na odpowiedzialnym posterunku dyplomatycznym, na który skierowała Worowskiego młoda Republika Radziecka.

Z tradycji Polaków na Uniwersytecie Moskiewskim możemy być dzisiaj dumni. Polscy studenci odegrali w historii Uniwersytetu Moskiewskiego chlubną i zaszczytną rolę i zostawili po sobie świetlaną pamięć. Dziś te tradycje kontynuujemy my — tacy jak Zenek Siemion — jeden z siedmiu synów małorolnego chłopa, jak Sebiuta, który pasł kułackie krowy, jak Zarębski — syn robotnika z Białegostoku, jak Kapitan — partyzant AL, lub Gruda — dziecko emigrantów politycznych albo Borkowski — były goniec i milicjant. Dołożymy wszelkich starań, aby być godni naszych poprzedników, aby nie zawieść naszego narodu i partii, która nas tu przysłała z leninowskim nakazem: „Uczyć się, uczyć się i jeszcze raz — uczyć się".

RYSZARD BADOWSKI
Student V r. wydz. dziennikarskiego Uniwersytetu Moskiewskiego

Ciekawostki o Uniwersytecie Moskiewskim

W pierwszych latach istnienia Uniwersytetu naukę pobierało ogółem... 30 studentów. Obecnie liczba studentów tej uczelni sięga 22.000, zaś aspirantów — 1860.

*

4.XI.1927 roku na Uniwersytecie Moskiewskim Majakowski recytował publicznie swój poemat „Dobrze!".

*

M. Lermontow napisał w Moskwie podczas nauki na Uniwersytecie ponad 200 wierszy... A. Gribojedow ukończył tu dwa wydziały — piśmienniczy (filologiczny) i etyczno-polityczny (prawniczy)... Nakładem drukarni uniwersyteckiej ukazało się w roku 1842 pierwsze wydanie „Martwych dusz" M. Gogola.

*

Przy Uniwersytecie Moskiewskim istnieje Studium Operowe. Z okazji Jubileuszu studenci-artyści wystawią pierwszą rosyjską operę komiczną pt. „Młynarz, czarodziej, oszust i swat", którą wystawiano już na uniwersyteckiej scenie około dwóch wieków temu. Główną partię śpiewać będzie student III roku wydz. fizycznego, Kuźniecow.

*

Znani działacze rewolucyjni K. Kalinowski (Białoruś), M. Nałbadian (Armenia), L. Karawełow (Bułgaria) byli wychowankami Uniwersytetu Moskiewskiego.

*

Jesienią 1905 roku na podwórzu Uniwersytetu odbył się wielki wiec studentów z udziałem 4000 robotników. Manifestantów otoczyli żandarmi. Studenci i robotnicy zbudowali barykady i utworzyli uzbrojone drużyny bojowe.

*

W dni rewolucji 1905 roku uczony-bolszewik M. Sztemberg przekształcił obserwatorium uniwersyteckie w tajny skład broni rewolucjonistów.

*

Podczas drugiej wojny światowej ponad 5000 studentów, wychowanków i pracowników Uniwersytetu walczyło na froncie. Studenci N. Fiodorow, E. Rudniewa, A. Riabowa, W. Niemykin i inni nagrodzeni zostali za bohaterskie czyny Orderami Lenina i tytułem Bohatera Związku Radzieckiego. Pięciu uczonych otrzymało w tym czasie tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej, 80 — Laureata Nagrody Stalinowskiej.

*

Niezwykły w swoim rodzaju rekord ustanowił profesor Uniwersytetu Moskiewskiego doktor nauk geograficznych Mikołaj Zubow. W roku ubiegłym dokonał on przelotu nad biegunem północnym. Profesor Zubow ma — 70 lat i jest jedynym człowiekiem na świecie, który w tym wieku dokonał podobnego wyczynu. Obecnie prof. Zubow ponownie znajduje się w okolicach bieguna północnego.

*

...Pierwsze wydanie „Sonetów Krymskich" Adama Mickiewicza w Rosji było wydrukowane w Drukarni Uniwersyteckiej w Moskwie.

...Dekabryści Bestużew-Riumin, Kachowski (straceni w 1826 r.) i Nikita Murawiow kończyli studia na Uniwersytecie Moskiewskim.

...Pierwszą publiczną biblioteką w Rosji była biblioteka przy Uniwersytecie, nosząca obecnie imię Maksyma Gorkiego.

...Studentami Uniwersytetu byli tacy pisarze i naukowcy rosyjscy, jak: Hercen, Ogariow, Bieliński, Gribojedow, Lermontow, Turgieniew, Czechow, Gieczenow, Pirogow, Żukowski, Timiriazew.

...Powieść „Czapajew" została napisana przez Furmanowa w 1923 r., tj. na rok przed zakończeniem przez pisarza studiów uniwersyteckich w Moskwie.

...Znana poetka radziecka, Margarita Aligier, napisała cykl wierszy poświęconych Uniwersytetowi pt. „Wzgórza Leninowskie", wiersze i pieśni o Uniwersytecie napisali również inni poeci radzieccy: Eugeniusz Dołmatowski, Lew Ozanin, Maksym Tank, Płaton Worońko.

...Zmarły niedawno, wybitny działacz KPZR i członek Rządu Radzieckiego Andrzej Wyszyński, był w latach 1928-35 rektorem Moskiewskiego Uniwersytetu.

Zebrał: RYSZARD ABRAMOWICZ

Ostatnie chwile przed jubileuszem

Urodziny są zawsze wielkim i radosnym świętem, tym bardziej jeśli kończy się... 200 lat. A takie właśnie urodziny obchodzi dzisiaj Uniwersytet Moskiewski. Od wielu tygodni uczelnia żyje tym wielkim wydarzeniem. Na wszystkich wydziałach odbywają się uroczyste sesje naukowe i spotkania ze słynnymi dziś absolwentami Uniwersytetu.

U studentów wydziału mechaniczno-matematycznego gościli na przykład — dwukrotny laureat Nagrody Stalinowskiej Matwiejew, dyrektor Instytutu Mechaniki prof. Iliuszyn i prof. Finnikow, który ukończył ten wydział równo pół wieku temu oraz inni zasłużeni wychowankowie wydziału.

Wielkie ożywienie panuje także w licznych kołach amatorskich Uniwersytetu, w studenckich klubach i sekcjach sportowych. W jubileuszowej spartakiadzie przodują na razie fizycy. Pokazy zespołów amatorskich trwają.

Wydział biologiczny wystąpił z okazji jubileuszu z wesołą komedią „Komarzęta" pióra samych studentów — Rezonowej i Dubrowskiego. Tematem jej są perypetie młodych biologów na praktyce.

Przygotowania do Jubileuszu dobiegają już końca. 6 maja wszystko będzie „zapięte na ostatni guzik". Wydawnictwo Uniwersytetu wydaje specjalny album i historię uczelni w 2 tomach. Ukaża się specjalne znaczki pamiątkowe, które otrzymają wszyscy studenci. Na 24 piętrze Pałacu Nauki otwarta zostanie wielka wystawa, ilustrująca sławne tradycje Uniwersytetu w przeciągu wieków.

Właściwe uroczystości jubileuszowe rozpoczną się 7 maja. Na sesję jubileuszową zaproszeni zostali goście z kilkudziesięciu krajów, w tej liczbie także i uczeni polscy. Wielu uczonych zagranicznych wyraziło chęć wygłoszenia szeregu wykładów na poszczególnych wydziałach.

Jubileusz nie ograniczy się jednak tylko do części oficjalnej. Dla studentów będzie on również okresem odpoczynku i zabaw. Studentom Uniwersytetu Moskiewskiego oddany zostanie na własność (na przeciąg tych kilku dni) najpiękniejszy w Moskwie Park Kultury i Wypoczynku im. M. Gorkiego. 15 maja przewidziane jest wielkie święto sportowe. W finałach Spartakiady Uniwersyteckiej wystąpią najlepsi: rekordzistka Europy w biegu na 100 m studentka Irina Turowa, rekordzista ZSRR w sztafecie Pietrow, mistrz sportu pływak Kuriennoj i wielu, wielu innych.

(a. ż.)

O „zieloną drogę" dla utalentowanej młodzieży filmowej

JAN KRAFFT

Spójrzmy na realizację bieżących zadań w zakresie filmów fabularnych. Zgodnie z uchwałą Prezydium Rządu o rozwoju bazy produkcyjnej naszej kinematografii ilość produkowanych filmów powinna stale wzrastać, a w najbliższych dwóch latach przekroczyć cyfrę 10 filmów pełnometrażowych rocznie.

Dla „obsłużenia" tej ilości filmów nasza kinematografia dysponuje 7-8 doświadczonymi reżyserami. Jest to ilość zdecydowanie zbyt mała, gdyż z dotychczasowej praktyki wynika, że reżyserzy przeciętnie wypuszczają jeden film co dwa lata, w najlepszym razie co półtora roku (wyjątkiem jest reż. Rybkowski, który realizował ostatnio filmy rok po roku).

W tej sytuacji powstała konieczność sięgnięcia do młodych, „podrastających" rezerw twórczych, przede wszystkim zaś do środowiska Szkoły Filmowej w Łodzi. Toteż zjawiskiem zupełnie normalnym było 7 debiutów reżyserskich w roku ubiegłym i zapowiedź kilku nowych debiutów w roku bieżącym. Dzięki tym pociągnięciom kinematografia zapewniła sobie normalny tok produkcji w roku ubiegłym, a zapewne i podoła temu samemu w roku bieżącym.

Tak wygląda sprawa debiutów, jeśli spojrzymy na nie od strony planów produkcyjnych naszej kinematografii. Nie można jednak zapominać, że rozstrzygającym punktem widzenia na zagadnienie debiutów jest spojrzenie od strony ideowo - artystycznego znaczenia tego zjawiska.

PIERWSZE SUKCESY

Jeszcze dwa lata temu kinematografia nasza mogła „chwalić się" trzema, czterema nazwiskami i niewielu więcej dziełami filmowymi. Szczególnie zaś w latach 1950—1953 nasza kinematografia okazała się niezbyt zdolna do prawdziwego wyrażania spraw ludzkich okresu budowy socjalizmu.

I dopiero ostatnie dwa lata, obok wielu pozycji ciągle jeszcze nieudanych, przyniosły filmy mówiące prawdę o ludziach i ideowości naszego czasu. Były to dwie serie filmu Kawalerowicza zrealizowanego wg. powieści Newerlego „Pamiątka z Celulozy", był to film Munka i Lesiewicza „Gwiazdy muszą płonąć", był to film Wajdy „Pokolenie".

Oczywiście filmy te mają swoje słabe strony. Są to jednak dzieła świadczące o dużej wrażliwości artystycznej twórców, dzieła ambitne ideowo, usiłujące szczerze i skromnie odnaleźć w życiu i przedstawić środkami filmowymi podstawową prawdę współczesności, że bohaterstwo nie jest udziałem nielicznych jednostek, a rzeczywiście codziennym składnikiem życia każdego człowieka biorącego udział w budowie lepszej przyszłości, że bohaterstwo to po prostu zmaganie się z przeciwnościami losu, pokonywanie własnych słabości, braków i błędów.

Grupa wymienionych reżyserów i ich udane filmy nie są zjawiskiem odosobnionym, pojawiającym się poniekąd automatycznie jako zwykły awans młodych twórców. Moim zdaniem jest to pierwsza grupa z tego środowiska młodych twórców filmowych, które stanowi potencjalną siłę zdolną w najbliższych latach pchnąć naszą kinematografię znacznie naprzód i spowodować w naszym filmie upragniony przez wszystkich „skok jakościowy".

Za Kawalerowiczem, Munkiem, Lesiewiczem, Wajdą, Kropatem i Lipmanem stoi wielu, nie zawsze najmłodszych wiekiem, ale „młodych duchem" reżyserów i operatorów, którzy nieraz mają w swym dorobku znane i wyróżnione filmy krótkometrażowe. Mam na myśli Janusza Nasfetera i Stanisława Lenartowicza, których filmy „W fabryce" i „Kodeks Behema" były nagradzane w Karlovych Varach; mam na myśli Wojciecha Hasa — twórcę interesujących filmów dla młodzieży: „Kramik Jankowy", „Zielarze z Kamiennej Doliny"; Wadima Berestrowskiego — autora b. dobrego filmu dokumentalnego o Festiwalu Młodzieży w Budapeszcie, Aleksandra Pfaua, którego „Przygody bumelanta", etiuda zrealizowana w 1951 r., do dzisiaj wyświetlana jest przy najrozmaitszych okazjach z niesłabnącym powodzeniem, Konrada Nałęckiego — drugiego reżysera filmu „Pokolenie", Janusza Weycherta i Jerzego Matuszkiewicza — autorów interesującej etiudy „Worek węgla" i wielu innych tworzących łącznie środowisko, w którym narastają bezustannie zadatki na nowe, nieprzeciętne zdarzenia filmowe.

Nie jest przypadkiem, że Wajda „wyskoczył" ze swoim filmem. Ktoś, kto obserwował z bliska środowisko młodych w okresie jego rozwoju od kursu krakowskiego w 1945 roku do Szkoły Filmowej w Łodzi — musi uznać dzisiejsze sukcesy tej młodzieży za zjawisko nieuniknione.

Tę „nieuniknioność" widać zapewne najlepiej z dołu, to normalne. Szkoda, że niezbyt bacznie patrzono w tym kierunku z góry. Być może uniknięto by pewnych błędów, otwarto wcześniej niektóre z zamkniętych jeszcze drzwi, a także zamknięto tam, gdzie je zamknąć trzeba.

Doszedłem w ten sposób do spraw najbardziej drażliwych i trudnych. Nie ma jednak rady. — Ominąć ich nie można.

ASEKURANCKA TAKTYKA — HAMUJE

Otóż nie jest dla środowiska filmowego tajemnicą, że część filmów realizowanych przez młodych w ostatnich dwóch latach wypadła słabo. Czy stwierdzenie tego faktu stoi w sprzeczności z dotychczasowym wywodem? Czy podrywa ono zaufanie do młodzieży, jakie u nas powinno istnieć?

Za negatywną odpowiedzią na te pytania przemawiają dwie okoliczności. Po pierwsze trzeba przypomnieć truizm, ża każdy niemal, kto stawia pierwsze kroki — potyka się. Zapomniała o tym co prawda krytyka filmowa uderzająca złośliwie np. w młodych twórców „Trudnej miłości". Nie byłoby powodu do obustronnych rozgoryczeń w wypadkach niektórych niepowodzeń realizatorskich, gdyby nie okazało się, że powstały wątpliwości, czy wszyscy debiutanci mają prawo do debiutu w pełnometrażowym filmie fabularnym.

I tutaj kolej na omówienie drugiej okoliczności. Nie ulega chyba wątpliwości, że dzisiaj, kiedy twórczość „starej gwardii" reżyserskiej nie wystarcza dla zapewnienia dostatecznego postępu naszej sztuki filmowej, kiedy niektórzy z młodych zasygnalizowali przekonywająco, że posiadają nowe, duże możliwości twórcze — te przejawiające się wśród rad artystycznych i działaczy kierujących kinematografią skłonności do taktyki asekuranckiej wobec następnych debiutów mogą stać się czynnikiem hamującym.

Odwrotnie, potrzebna by tu była taktyka ułatwiająca debiuty i ośmielająca debiutantów we wszystkich tych wypadkach, kiedy młodzi kandydaci na dojrzałych twórców mają coś do powiedzenia jako ludzie, jako ideowcy i jako artyści. Jednym słowem do debiutów winni mieć prawo najbardziej uzdolnieni, ci, co do których istnieje słuszne przypuszczenie, że wcześniej czy później (mogą nawet „po drodze" zepsuć niejeden film) potrafią przemówić do społeczeństwa w sprawach go obchodzących, w formach bogacących kulturę i wyobraźnię ludzi. Takich młodych twórców jest sporo. Niesłuszne jest dalsze dopuszczanie do sytuacji, w której ich możliwości nie są w pełni wykorzystane.

O CO MAMY PRETENSJE

Ale na pewno nie wszyscy z młodzieży mają prawo do debiutów, nie wszyscy są dość uzdolnieni (bez tego warunku w ogóle nie ma mowy o twórczości co nie oznacza, że od razu wszyscy niepewni siebie mają się poddać). Część to pozycja niewiadoma.

W wypadkach wątpliwych ograniczenia „na starcie" są uzasadnione. I nie można mieć o to do nikogo pretensji. Natomiast konieczne są pociągnięcia zmierzające do stworzenia młodzieży i tej bardziej utalentowanej i tej mniej utalentowanej warunków dla doskonalenia warsztatu i zbadania swoich możliwości. Takich warunków w obecnej praktyce i organizacji kinematografii zupełnie brak.

Występując za rozszerzeniem tempa i zakresu debiutów w filmie fabularnym zdaję sobie sprawę, że nie jest to łatwe zadanie do wykonania, najbardziej ze strony samych debiutantów. Większość ewentualnych kandydatów zbyt mało realizowała filmów, ma zbyt duże braki warsztatowe. Można by tu powołać się na niedostatki występujące także w filmach Munka-Lesiewicza i Wajdy. Oczywiście w jeszcze gorszym położeniu są wszyscy ci, których talent dojrzewa wolno, którzy muszą długo pracować dla osiągnięcia wyniku.

Jaka jest rada na to, aby przyśpieszyć dojrzewanie artystyczne młodych, ułatwić przygotowanie do „pełnego" startu lub stwierdzić brak danych artystycznych?

ZMIENIĆ CHARAKTER SZKOŁY

Od kilku lat padały głosy, aby rozwinąć u nas produkcję „małych form" na terenie Wytwórni Filmów Fabularnych. Dotychczas poza „Trzema opowieściami" i „Trzema przegranymi" realizowanymi jednak przede wszystkim jako filmy szkolne (absolutoryjne czy dyplomowe) nikt o tym na serio nie pomyślał.

I nic dziwnego. Wytwórnia Filmów Fabularnych to ośrodek produkujący filmy pełnometrażowe, „dojrzałe". Zapewne nie przeszkodziłoby w pracy wytwórni, gdyby któryś z realizatorów przystąpił do ekranizacji nowel Sienkiewicza czy Prusa. Miałoby to jednak sens wówczas, gdyby praca taka była obliczona na wejście na ekrany. Natomiast trudno domagać się od wytwórni, która jest bądź co bądź fabryką, aby stwarzała u siebie warunki właściwe dla komórki eksperymentalnej, gdyż małe formy, o których myślą wnioskodawcy, to inaczej mówiąc filmy eksperymentalno-szkoleniowe.

Gdzie wobec tego szukać wyjścia? Sądzę, że wyjścia należy szukać w pewnych zmianach profilu PWSF.

Słuszny wniosek wynika z zamieszczonego w 13 n-rze POPROSTU artykułu Mariana Kusy („Szkoła Filmowa na cenzurowanym"), że absolwenci PWSF to ludzie niedouczeni. Przeważnie tak właśnie się dzieje. Realizuje się w ciągu studiów za mało etiud (raptem trzy, łącznie z pracą dyplomową). Szkoła dzisiaj przyjmuje młodzież zbyt „młodą", bez doświadczenia życiowego i wyrobionych zamiłowań artystycznych. Największa wada szkoły wynika z faktu, że nie sprawdza ona indywidualności twórczej (lub jej braku) przyszłych absolwentów, a realizacja filmu absolutoryjnego lub dyplomowego nie zawsze wystarcza dla sprawiedliwej oceny ich przydatności artystycznej.

Szkoły nie „uratują" usprawnienia programu i rozmaite pociągnięcia organizacyjne. Szkoła powinna zmienić swój charakter, stać się bliższa temu, co działo się w niej, gdy rektorem był Jerzy Toeplitz. Krótko mówiąc powinna stać się bardziej ośrodkiem eksperymentalno-szkoleniowym, gdzie młodzi kandydaci na reżyserów i operatorów w ścisłym powiązaniu z radą doświadczonych realizatorów próbowaliby swoich sił.

Trzeba też stanowczo rozbić zasadę, że kandydatami na reżyserów mogą być wyłącznie absolwenci PWSF. Ta zasada zamyka dostęp do filmu dla artystów z innych dziedzin sztuki i ludzi zgoła z „innego życia". Film jest, a przynajmniej powinien być sztuką przodującą, sztuką dającą największe możliwości wypowiedzi twórczych, sztuką przyciągającą wielu tych ambitnych artystów, którzy czują potrzebę najbliższego kontaktu twórczego z narodem, tego kontaktu, który daje przede wszystkim film. Tacy ludzie „z całego świata" powinni być właśnie podstawą rekrutacji do Szkoły Filmowej lub powinni korzystać ze Szkoły jako komórki eksperymentalnej.

Chcę przypomnieć, że czołowi dzisiaj młodzi twórcy to przeważnie ludzie, którzy przyszli do filmu z różnych stron. Kawalerowicz, Wajda, Nałęcki — to plastycy, Munk technik, Pfau — szofer itp. Tę taktykę zastosowaną początkowo przez prof. Bohdziewicza w Krakowie, kontynuowaną przez prof. J. Toeplitza w Łodzi, taktykę, której dodatnie rezultaty widzimy na ekranach, należy stosować z jeszcze większą konsekwencją obecnie.

Wniosek mój w sprawie przemiany charakteru Szkoły na zasadach ośrodka eksperymentalno - szkoleniowego, być może kłopotliwy z punktu widzenia kanonów administracyjnych, zmierza nie tyle do naruszenia systemu uczelnianego, ile do stworzenia bardziej elastycznych zasad organizacyjnych Szkoły, dostosowania ich do tempa i charakteru pracy w filmie, zasad uwzględniających żywą problematykę rozwoju naszej sztuki filmowej.

*

Na ogół w filmie jesteśmy skłonni do przesady, myślimy „szowinistycznie", mówimy, że film jest sztuką najważniejszą, że otwiera się przed nami coraz szerzej niezwykła perspektywa, czujemy w filmie wielką siłę przekształcającą życie.

I dlatego trzeba zrobić w filmie to wszystko, co jest niezbędne, aby w ślad za pierwszą falą dzieł młodych twórców, nadeszły następne, tak, abyśmy mogli doczekać się tej dziewiątej, wielkiej fali osiągnięć naszej twórczości filmowej.

Autor artykułu, red. Henry Magnan z małżonką — wybitnym reżyserem filmowym Yannick Bellon w czasie pobytu w Polsce.

MAREK HŁASKO

Okrutna wojna

„Po wielkim zmęczeniu — nawet sukces wydaje się koszmarnym snem..." — mówi narrator filmu „Okrutne morze". Dowódca bohaterskiego okrętu mówi do swego przyjaciela — pierwszego oficera: „Na początku wojny było inaczej. Byliśmy inni dla ludzi. Martwiliśmy się, czy nas rozumieją i lubią, opiekowaliśmy się nimi. A teraz po prostu zabijamy wrogów; wojna odbiera uczucie..." W innej sytuacji, do tego samego dowódcy inny człowiek powiada: „Wojna się skończy. Ale o wojnie nikt nie potrafi zapomnieć. Skończy się wojna, ale myśli pozostaną..." W atmosferę filmu wprowadza nas narrator — Conradowskim zdaniem: „Jest to opowieść o garstce ludzi i o okrutnym morzu, które jeszcze okrutniejszym uczynił człowiek".

Remarque w swojej książce „Na Zachodzie bez zmian" pokazał nam tysiące gnijących trupów, frontowe domy rozpusty, w których ginący ludzie szukają zapomnienia u kobiet zepchniętych do roli materaca i oddających się mężczyźnie bez spojrzenia na jego twarz; deszcz spadających rąk, które szrapnel oberwał żołnierzom w sąsiednim okopie, potworną śmierć z twarzą we własnym kale i na końcu książki — śmierć bohatera książki, który ginie w przeddzień końca wojny, podczas gdy głośniki radiowe i gazety mówią sakramentalne słowa komunikatu powtarzającego się już od wielu miesięcy: „na Zachodzie bez zmian". W swej następnej książce „Droga powrotna", mówi o ludziach, którzy opuścili okopy pierwszej wojny i — nie potrafią donikąd powrócić. Czują się niepotrzebni i zagubieni. Okłamali ich wszyscy, kłamstwem okazały się wszystkie słowa o wolności, krwi, honorze, w imię których szli na śmierć; wobec ogromu i koszmaru wojny wszystkie uczucia nie mają sensu: i zwycięstwo, i klęska tracą swój wymiar i sens wobec koszmarnych trudów i cierpień.

Inna jest wojna u Remarque'a, inna — na przykład — u Szołochowa. Remarque, klasyczny chyba przykład wrażliwego na cierpienia ludzkie pisarza pacyfisty, twierdzi — ustami swych bohaterów i pokazując ich losy— iż każda wojna jest wojną bez zwycięzcy. Lecz mieszczańscy pacyfiści wyrażając swój protest zamykają jednocześnie oczy, nie wierzą w ostateczny rachunek i ostateczną sprawiedliwość. Ich bohaterowie ponoszą nieuchronną i straszliwą klęskę, gdyż przegrywając na wojnie stare pojęcia i oceny moralne nie zyskują nowych; nie jest przecież moralną i historyczną oceną wojny stwierdzenie, iż okłamano wszystkich—i tych, którzy zginęli, i tych, którzy — nie wiadomo właściwie po co — pozostali przy życiu.

Historia przyznaje jednak rację jednej ze stron; wiemy, że w ostatniej wojnie jedna ze stron walczyła o przemoc a druga o wolność. Tej racji nie chcą, lub nie mogą zobaczyć mieszczańscy pacyfiści Zachodu; mieszczuch zawsze powie, że go okłamano, gdyż szersze widzenie świata jest dla niego zbyt groźne. I w tym wypadku krzyk protestu uderza w próżnię; może być nawet ogromnym krzykiem, lecz nieuchronnie musi rozbić się o każdą przeciwstawioną mu i popartą siłą rację. Prócz biologicznego protestu i zamętu moralnych pojęć, drobiazgowych opisów straszliwego okrucieństwa i braku odwagi spojrzenia w przyszłość— Remarque nie powiedział nam nic o wojnie. I taka przestroga jest tylko gorzkim przypomnieniem przeszłości a nie siłą, o która mogłaby się rozbić nowa zbrodnia.

Twórca „Cichego Donu" również każe nam pamiętać o przeszłości i doprawdy trudno zapomnieć cokolwiek z tego, co się przeczytało na temat wojny po zamknięciu tej książki. Lecz Szołochow — pisarz-komunista — wie, że przeszłość łączy się nierozerwalnie z przyszłością, w imię więc lepszej przyszłości nie wolno zapominać o tym, co było. Bohaterowie Szołochowa są ludźmi uzbrojonymi o wiele silniej od bohaterów Remarque'a: są uzbrojeni w moralne racje, które stanowią największą ich siłę i wierzą w rachunek ostateczny, który odbędzie się tutaj, na ziemi. W imię tego zabijają i giną; przegrywają stare racje zdobywając jednocześnie nowe. Wojna jest dla nich wielką szkołą.

Lecz wojna ma swój koniec. Jeśli zostało się przy życiu, ważne jest to z czym się pozostało i w którą stronę uczyni się pierwszy krok. Melechow przegrywa swoją miłość, rodzinę, młodość, dawne racje o które walczył, lecz musi — zmuszony przez historię — wybrać. Wybiera; jest bohaterem tragicznym; idzie w przyszłość i wie, że w okrutnym i podłym wciąż świecie, prawda i wolność muszą wkraczać przemocą, muszą rozbijać wciąż po drodze napotykane barykady.

Bohaterowie Remarque'a nie mają nic prócz przeszłości, która kładzie im się kłodą pod nogi przy każdym nieśmiało uczynionym kroku. Są, jak oglądane po latach, tragiczne maski nieznanych nam ludzi; wzrusza nas zawarte w nich cierpienie, lecz nie możemy usłyszeć od nich słowa. Pozostają niemi i zamarli: prawdę o przyczynie, która spowodowała klęskę ich życia, muszą nam przekazać inni.

Analogia między tymi pisarzami przyszła mi na myśl po obejrzeniu angielskiego filmu „Okrutne morze". Zabrakło mi w tym filmie racji; olbrzymiej racji, która musi być wyrażona tym silniej i goręcej, im okrutniejsze i wrogie człowiekowi jest to, co oglądamy, czytamy lub o czym słyszymy. Nie wiemy właściwie nic o bohaterach tego filmu prócz tego, iż potrafią być oni nadludzko odważni lub tchórzliwi, iż wszyscy oni wiedzą, że wojna jest ohydną i niepotrzebną rzeczą. Nie wiemy, jakie miejsce zajmą oni w rzeczywistym układzie sił na ziemi, kiedy skończy się wreszcie koszmarna wojna i powrócą do swych domów i bliskich. Nie wiemy rzeczy najważniejszej: czego n a u c z y ł a ich wojna.

Wartość tego filmu — jak mam wrażenie — nie polega na wyrażonej w nim moralnej racji, w imię której bohaterowie osiągnęli zwycięstwo nad faszyzmem, raczej — na jego moralnym, czystym nurcie; na pokazaniu ludzkiej odwagi, przyjaźni i siły. Lecz jest to zbiór przypadkowych elementów wojny — czasem pięknych i wspaniałych — a nie wielka prawda o wojnie.

„Morderca!" — krzyczy marynarz do dowódcy okrętu, który skazał na śmierć tonących rozbitków w imię zwycięstwa. Marynarz ten widział śmierć swoich rodaków, lecz nie zrozumiał jej sensu. Wszystkim bohaterom tego filmu wojna jest obca i moralnie nie do przyjęcia. Lecz poza tym — nie wiemy o nich nic.

I kiedy po raz pierwszy widzą swego wroga, ze zdziwieniem niejakim stwierdzają, iż nie różni się on od nich niczym. Ludzie zabijają ludzi — oto i wszystko. Po co? W imię czego? Kto kazał zabijać angielskich i niemieckich marynarzy? Komu żyjący po nich wolni i sprawiedliwi tego świata przyznają rację? Czy wojna potrzebna jest narodom czy tylko garstce szaleńców? Z czym, z jakimi oczami i z jakim sercem wrócą do domu angielscy marynarze?

Tego nie wiemy; postępowość i demaskatorstwo tego filmu zatrzymują się w pewnym miejscu: ślepy krąg pozostaje zamknięty. Znów zwycięstwo nie ma sensu: ostatnie zdjęcie tego filmu, to nieludzko zmęczone twarze marynarzy. Odpowiedź na pytanie — po co? — została nie wypowiedziana. I dlatego — mam wrażenie — film ten powie nam o wiele więcej niż widzowi angielskiemu: Polacy są chyba narodem, który najwięcej wie o wojnie.

---

tem pisarskim... bez wartości merytorycznej.

Gdy Balzak lub Emil Zola tworzyli swe monumentalne dzieła, nie mieli większej ponad to troski. Pisarze tak różni od siebie jak Albert Camus, Jacques Lemarchand, Marcel Aymé, Marcel Arland, Albert Vidalie, Jacques Audiberti i wielu innych jeszcze mają jednak tę wspólną cechę, że interesują się życiem we wszystkich jego przejawach. W ich twórczości życie odbija się jak w zwierciadle tysiącem odblasków. Iskry psychologiczne błyszczą ogniem wrażliwości i introspekcji. Powstają wierne obrazy naszych nieszczęść i radości codziennych.

Jeden tytuł, aby zakończyć i podsumować: „Beau Masque" („Piękna maska") powieść Rogera Vaillanda, która, mam nadzieję, ukaże się wkrótce w Polsce *), a przedstawiając problem zjednoczenia dwóch światów — zachowuje dla każdego z nich własny styl, tak jak to uczynił Tołstoj w „Wojnie i pokoju".

WSTĘP I PRZEKŁAD: R. KORN

*) Jak nas informuje S. W. „Czytelnik" tłumaczenie książki „Beau Masque" Vaillanda jest w przygotowaniu i wydawnictwo ma nadzieję, że uda mu się włączyć ją do planu na rok 1956.

OGÓLNOPOLSKA STUDENCKA OLIMPIADA SZYBKIEJ ORIENTACJI

KUPON UCZESTNIKA

..... Nazwisko i imię — wpisać drukowanymi literami

..... Uczelnia, wydział i rok studiów

Do poniższych rubryk uczestnik OSOSO wpisuje odpowiedzi na poszczególne pytania Olimpiady

1		11		21	
2		12		22	
3		13		23	
4		14		24	
5		15		25	
6		16			
7		17			
8		18			
9		19			
10		20			

OBLICZENIE WYNIKÓW
(wypełnia jury)

za odpow. trafne + ... pkt

za odpow. błędne, przekreślone lub poprawione – ..... pkt

wynik ..... pkt

Podpisy członków jury

....

Prof. DYZMA GAŁAJ

Na marginesie konferencji naukowej studentów WSR w Olsztynie*)

Chcę pokusić się o pokazanie jednego z bardzo ważnych, a zarazem — moim zdaniem — zupełnie niedocenianych sposobów rozwijania naszych studentów, a także pracowników naukowych. Chodzi o konferencje naukowe studentów. Chcę się podzielić skromnym doświadczeniem, które uzyskaliśmy w tym zakresie w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie.

W marcu 1954 r. na zebraniu otwartym POP naszej uczelni padł wniosek, by tematem następnej konferencji naukowej było zagadnienie rezerw w produkcji rolniczej. Nic w tym dziwnego, jeśli zważymy, że był to właśnie okres II Zjazdu i gorących dyskusji o perspektywach naszego rolnictwa i w ogóle całej gospodarki.

Studenci mieli organizować się w grupach roboczych przy poszczególnych zakładach do realizacji wysuniętego przez nich tematu, będącego niejako elementem składowym tematu głównego. (Przykład: studenci grupy roboczej Zakładu Chemii Rolnej podjęli temat: „Rezerwy gospodarcze tkwiące w przechowywaniu obornika", podczas gdy temat główny ostatecznie sformułowany został następująco: „Rezerwy w produkcji rolniczej, sposoby ich uruchamiania i ich społeczno-ekonomiczne znaczenie").

Opracowanie podjętych tematów miało być dokonane na materiale uzyskanym w spółdzielni produkcyjnej w Sudwie, PGR Wilkowo oraz w gromadach indywidualnie gospodarujących chłopów w Królikowie i Jemiołowie. Wszystkie te miejscowości leżą w pow. Ostróda, a pola ich graniczą ze sobą. Ma to wielkie znaczenie ze względu na możność dokonywania porównań.

Marzec i kwiecień 1954 r. były okresem narad, konferencji. Brało w nich udział bardzo wielu pracowników naukowych, rektor, prorektorzy, przedstawiciele KW, Prezydium WRN itd. Projekt został przyjęty z zainteresowaniem, choć przeważnie z poważną dozą sceptycyzmu. Niektórzy pracownicy naukowi twierdzili: studenci reprezentują tak niski poziom wiedzy, że nie można tu mówić w ogóle o pracy naukowej, ale ponieważ był II Zjazd i coś przecież trzeba w tej dziedzinie robić, można więc spróbować. Ryzyko nie jest duże. Co najwyżej praca utknie w połowie dzieła.

ZAPAŁ I OBOJĘTNOŚĆ

Od pierwszych dni kwietnia przystąpiono do realizacji projektu. Sprawa nie rozwijała się pomyślnie, co trzeba tłumaczyć głównie tym, że była to zupełnie nowa forma pracy i właśnie jako nowa forma musiała walczyć o prawo obywatelstwa zarówno w całej uczelni, jak w jej zakładach i grupach młodzieży studenckiej.

Jak tam było tak było — dość powiedzieć, że pewna ilość studentów i młodszych pracowników naukowych zaczęła odwiedzać wymienione miejscowości i zbierać interesujące ich materiały. Trzeba stwierdzić z przykrością fakt, że jeżeli chodzi o zainteresowania władz uczelni tą imprezą, to na ogół kształtowały się one odwrotnie proporcjonalnie do czasu oddzielającego dany okres od II Zjazdu. Im więcej upływało dni od marca 1954 r., tym mniej było widać zainteresowania Konferencją ze strony Rektoratu, Dziekanatów, a także Zarządu Uczelnianego ZMP. Dodajmy, że i dziś, już po udanej Konferencji, zainteresowanie to (poza Zarządem Uczelnianym ZMP) dalekie jest od takiego, jakie pragnęliby odczuć studenci — uczestnicy Konferencji.

Nie chodzi tu oczywiście tylko o sprawy formalne, takie jak np. pieniądze na wyjazdy, środki lokomocji itp., ale o okazanie uczestnikom Konferencji i biorącym udział w tych pracach zakładom zainteresowania ich pracą, uznanie tej pracy, usytuowanie w szkole ich działania jako niezwykle cennego zarówno ze względu na potrzeby praktyki rolniczej, jak również na potrzeby uczelni, która poprzez te prace może znacznie lepiej poznać praktykę rolniczą. Studenci walczyli mężnie z brakiem zainteresowania i z własnymi brakami w metodzie dochodzenia do poszukiwanych prawd naukowych. Musieli oni walczyć nawet z takimi ludźmi, którzy wykazywali życzliwość i duże zainteresowanie ich pracami, a którzy, jak np. autor niniejszego artykułu, chcieli wyręczyć studentów we wszystkich nawet najbardziej szczegółowych projektach prac, nie pozwalając tym samym na rozwój ich inicjatywy i samodzielności. Szczęściem w toku realizacji tematu nastąpiła na tym odcinku poprawa. Sprawy Konferencji ujęli studenci we własne ręce.

O SUKCESIE MŁODYCH BADACZY

26 lutego 1955 r. odbyła się Konferencja Naukowa Studentów. Wzięło w niej udział około 60 osób. Zreferowano na niej roczny dorobek 12 grup studenckich. Trzy opracowania wyróżniają się ciekawym ujęciem i bardzo dobrymi, niezwykle ważnymi dla praktyki rolniczej wynikami. Są to prace grup z Zakładu Chemii Rolniczej, Miernictwa i Melioracji oraz Gleboznawstwa. Inne prace reprezentują również spore wartości, choć, rzecz jasna, żadna z nich „nie odkryła prochu". Studenci uniknęli jednak w tych opracowaniach szkolarstwa i powtarzania podręczników, poważnie przeżywając swój pierwszy sukces badawczy — mały, ale niewątpliwy i dlatego po swojemu wzruszający autorów. Na tym polega największe osiągnięcie Konferencji Naukowej Studentów WSR w Olsztynie.

Zdarzył się w czasie Konferencji na pozór błahy, ale moim zdaniem, niezwykle symptomatyczny przypadek. Student II roku wydz. rolnego, kol. Malinowski, referował pracę o zagospodarowaniu łąk w dorzeczu rzeki Łyny na odcinku Olsztyn — Stara Ruś. W czasie gdy wprowadzał słuchaczy w istotę zagadnienia — współautor pracy kol. Borkowski zapisał tablicę kolumnami cyfr potrzebnych kol. Malinowskiemu do przeprowadzenia dowodu w końcowej części referatu. Kol. Borkowski w pośpiechu pomylił się w kilku dosyć istotnych miejscach (np. w jakiejś liczbie wpisał o jedno zero za mało).

Kol. Malinowski udowadniając tezę, że mimo ogromnych kosztów nakładów (ponad 3 mil. zł.) potrzebnych do zagospodarowania łąk nad Łyną zwrot tych nakładów osiągnie okoliczna ludność w ciągu dwóch lat, pokazywał na błędnie wpisaną liczbę „5000", a czytał bez zająknięcia „50000" nie spostrzegając błędu w zapisie (było tak w kilku miejscach). Dlaczego? Dlatego, że kol. Malinowski na dobrą sprawę całą tę wielką ilość liczb, cały proces walki o zagospodarowanie 800 ha łąk miał głęboko wryte w pamięć. Swoją pierwszą drogę poznania naukowego głęboko przeżył i dlatego mógł ją łatwo odtworzyć z pamięci, tak jak odtwarza się w pamięci każde inne radosne przeżycie.

Nie wątpię w to, że spośród wymienionych i nie wymienionych studentów — jeśli damy im odpowiednie warunki rozwoju — wyrosną wielcy naukowcy, którzy znakomicie połączą teorię nauk rolniczych z szeroką terenową praktyką. Są to ludzie, którzy już dziś zdają egzamin nie tylko w laboratorium i przy biurku, ale w terenie, często po omacku, często bez żadnej pomocy ze strony pracowników naukowych, nierzadko bojących się i nie rozumiejących praktyki. To nic, że ci bardzo cenni chłopcy i dziewczęta z WSR w Olsztynie mieli duże trudności w rozmowach z chłopami, że tymczasem — jak sami stwierdzili na Konferencji — łatwiej im było przedstawić w liczbach wysokość strat powodowanych przez szkodniki zbóż w spichrzach, łatwiej wykazać wpływ doboru ziarna siewnego na wysokość plonów, aniżeli dojść do ludzi, zdobyć u nich zaufanie, przekonać ich o konieczności stosowania określonych zabiegów na polu, łąkach, czy w chlewniach.

Szczegóły Konferencji odbytej na WSR w Olsztynie są raczej nieistotne. W bieżącym roku były takie, w następnym będą zapewne zupełnie inne. Istotne jest to, że uczestnicy jej doszli w sposób zupełnie naturalny do przekonania, że roczna praca nad wykrywaniem rezerw w gospodarce rolnej jest jej bardzo skromnym zaczątkiem i że powinna ona trwać permanentnie, bo taka jest przecież dialektyka rezerw. Uczestnicy doszli również do wniosku, że udział w tych pracach winny wziąć wszystkie koła naukowe i wszystkie zakłady uczelni. Wielu uczestników z dużym zapałem przewidywało uzyskanie o wiele lepszych wyników w roku przyszłym.

DZIEWIĘĆ WNIOSKÓW

Spróbuję teraz wyprowadzić kilka wniosków w związku z postawioną na początku artykułu tezą, że konferencje naukowe są ważnym czynnikiem w rozwoju wyższych szkół rolniczych.

Pierwszy. Temat: „Rezerwy w produkcji rolniczej, sposoby ich uruchomienia i ich społeczno - ekonomiczne znaczenie" jest tematem, który w warunkach wyższych szkół rolniczych bardzo dobrze łączy zainteresowania pracowników poszczególnych zakładów naukowych i studentów, zwłaszcza przodujących studentów, a także interesy nauki i praktyki rolniczej.

Drugi. Permanentna praca nad tematem „Rezerwy" i coroczna dyskusja na Konferencji Naukowej Studentów dają niezwykle realne podstawy do działania studenckich kół naukowych i studenckich towarzystw naukowych, a ponadto mogą być podstawowym kryterium przy kwalifikowaniu studentów na drugi stopień studiów oraz do pracy w charakterze pomocniczych sił naukowych.

Trzeci. Praca w tym zakresie daje podstawę do wyrastania nowych, wartościowych autorytetów wśród studentów, powoduje powstawanie nowych ambicji, przeciwstawnych banalnym, szkolniackim a często złym nawykom studentów panującym dotychczas i nie przezwyciężonym jeszcze w życiu wyższych szkół rolniczych.

Czwarty. Stwarza podstawy do współzawodnictwa między poszczególnymi zakładami o coroczne wyniki w tej pracy, a także do swoistego współzawodnictwa między przodującymi studentami danego koła naukowego a pracownikami naukowymi zakładu, z którym to koło jest związane. Studenci swoją aktywną postawą, chęcią zaspokojenia naukowych ambicji — zwracając się do pracowników naukowych o pomoc — będą aktywizować tych pracowników, którzy z kolei swoją pracą stwarzać będą bodźce dalszego rozwoju koła. Doświadczenia kół naukowych i Zakładów Chemii Rolnej, Gleboznawstwa, Miernictwa i Melioracji, Zoologii, Żywienia Zwierząt, Ogólnej Uprawy i in. potwierdzają ten wniosek w całej pełni. W zakładach tych można spotkać najbardziej wartościowych studentów szkoły. Sukcesy tych zakładów i kół ściągają studentów z innych kół pracujących słabiej i nie zdolnych do zaspokojenia ich zainteresowań.

Piąty. Praca w tym zakresie uczy studentów rozwiązywania w praktyce konkretnych zagadnień i to rozwiązywania ich nie tylko od strony przyrodniczej, ale także od strony społeczno - ekonomicznej, uczy studentów nie tylko objaśnienia pewnych zjawisk, ale także przekształcania, przetwarzania ich. Czyni więc ona ze studentów — przyszłych inżynierów, działaczy. Dotyczy to również pracowników naukowych związanych z tymi pracami. Jest to bardzo istotny wniosek, gdyż braki w tym zakresie są w praktyce dydaktycznej i wychowawczej wyższych szkół rolniczych olbrzymie. Studenci — uczestnicy konferencji w kontaktach z chłopami wykazali wiele naiwności i nieporadności. To samo trzeba powiedzieć o pracownikach naukowych, mimo że w pracach tych brali udział pracownicy do pewnego stopnia „obyci" z terenem.

Szósty. Praca ta może bardzo ukonkretnić i uterenowić wykłady. Teza ta, sądzę, nie wymaga szerszego wyjaśniania

Siódmy. Praca nad „Rezerwami" może dać znakomitą podstawę do dyskusji nie tylko wśród studentów, ale także wśród pracowników naukowych. Przykład — w jednej z prac powstałych w grupie roboczej przy Zakładzie Szczegółowej Uprawy Roli i Roślin i pozytywnie zaopiniowanej przez adiunkta zakładu mgr Majkowskiego postawiono idealistyczną tezę, że procesy produkcji rolniczej różnią się podstawowo od procesów produkcji przemysłowej, gdyż w rolnictwie zasadniczym czynnikiem jest przyroda... Tezę tę, jako nadającą się do dyskusji, przytoczył w referacie wprowadzającym na Konferencji kol. Bernatowicz. Niestety w dyskusji nie podjęto tego tematu. Polemika była co prawda utrudniona, gdyż nikt z wymienionego zakładu nie wziął udziału w Konferencji. A szkoda. Z dyskusji byłby na pewno pożytek nie tylko dla studentów.

Ósmy. Bogaty dorobek w pracy nad „Rezerwami" przyniósłby znaczną pomoc ludziom zajmującym się propagandą rolniczą, gdyż wzbogaciłby ją przez terenową konkretyzację nieraz nawet ogólnie znanych tez. Jest bowiem rzeczą zupełnie zrozumiałą, że teza: „chłopi źle przechowują obornik i ponoszą przez to duże straty" jest ogólnikowa i dlatego niewiele znaczy w propagandzie, ale nabiera ona niezwykle dużej siły, gdy brzmi: „w gospodarstwie Jana Resiaka we wsi Jemiołowo, p. Ostróda, straty ze źle przechowywanego obornika od 1 konia, 2 krów i 3 sztuk trzody wynoszą w przeliczeniu 11 q żyta".

Dziewiąty. Tym typem pracy winny bardzo żywo zainteresować się zarówno władze uczelni, jak i władze uczelnianych organizacji społecznych. Należy uzgodnić ich wysiłki i doprowadzić do długofalowej pracy pewnej części studentów i wszystkich zakładów naukowych. Wyniki będą na pewno duże. Do wielu środków, którymi posługujemy się w kształceniu i wychowywaniu nowoczesnych kadr dla rolnictwa dojdzie jeszcze jeden — moim zdaniem — niezwykle ważny i na pewno skuteczny.

---

*) Artykuł ten został napisany przed opublikowaniem wypowiedzi prof. Misiuny pt. „Czego nie docenia prof. Gałaj" (POPROSTU nr 12 br.), w której autor zarzuca prof. Gałajowi niedocenianie w przygotowaniu do konkretnego zawodu prac badawczych prowadzonych przez poszczególne zakłady.

Meldunki z przedfestiwalowej „Wiosny Żakowskich Igraszek"

W GDAŃSKU

„Wiosna Żakowskich Igraszek" — rozpoczęła się także w ośrodku gdańskim. Centralną imprezą będzie tu wielki festyn zorganizowany 29.V br. na ruinach zamku średniego w Malborku. Imprezy będą się odbywały także w wielkich, doskonale zachowanych salach zamku wysokiego. Studenci zapraszają na nie społeczeństwo Malborka.

Festyn zapowiada się imponująco. W każdym bądź razie powołana specjalnie komisja (w skład której weszli: kol. Kryda — przedstawiciel ZW ZMP, kol. R. Łosiński — z KO ZSP, kol. Staszewski — przewodniczący ZO AZS i kol. Kwapień — prezes Oddziału Gdańskiego PTTK) czyni wszelkie starania, aby nie zabrakło na nim atrakcyjnych rozrywek.

Sam fakt, że festyn będzie zorganizowany w twierdzy zakonu krzyżackiego — zamku malborskim — ma swoją wymowę. Studenci dojadą samochodami do różnych punktów powiatu — i stamtąd w pochodach ruszą do Malborka, gdzie odbędzie się symboliczne spalenie krzyżackiego zamku — na znak, że noga pruskiego zaborcy nigdy już więcej nie może stanąć na polskiej ziemi. Zapłoną ognie na placu, roztańczą się, rozśpiewają — na specjalnie budowanych estradach — studenckie zespoły artystyczne. Nogatem przypłyną umajone kajaki.

Trudno tu pisać o wszystkich punktach bogatego programu. Zresztą to tajemnica, bo gdańszczanie szykują się do zdobycia nagrody w konkursie POPROSTU na najlepszą, najciekawszą imprezę na wolnym powietrzu.

W LUBLINIE

Tu powitano „Wiosnę" bardzo serdecznie, a nawet entuzjastycznie. Na posiedzeniu Komisji Okręgowej ZSP „Naczelnym Zakiem" zgodnie okrzyknięto kol. **Zygmunta Łupinę**, studenta UMCS. Powierzono mu przewodnictwo lubelskiego Komitetu „Przedfestiwalowej Wiosny Żakowskich Igraszek".

Już następnego dnia kol. Łupina przedstawił wysłannikowi POPROSTU dość szczegółowy plan działania Komitetu.

A więc „Wiosnę" rozpoczną studenci udziałem w OSOSO. Następnego dnia, w niedzielę 22 maja, odbędzie się Turniej Krasomówczy. Protektorat nad „Turniejem" objął **prof. dr Leon Halban** — kierownik zespołu katedr historii państwa i prawa UMCS.

Kol. Waldemar Gałuszko, student III roku wydziału prawa, zajmuje się całością spraw „Turnieju".

„Wiosnę" ukoronuje „Gwiaździsty Raid Studencki", zakończony festynem, 28 maja (w sobotę) o godzinie 14 nastąpi wyjazd uczestników „Raidu" do 3 miejscowości: Bondyrza, Adampola, Klemensowa, gdzie studenci zorganizują po przyjeździe przeróżne imprezy, zabawy i widowiska. Potem — nocleg w namiotach i stodołach, a nazajutrz, w niedzielę o godzinie 6 rano, wymarsz pięknym szlakiem turystycznym do Zwierzyńca. Tam po odpoczynku (ew. kąpieli w jeziorach) zaczną się gry i popisy sportowców, rozgrywki z miejscowym kołem LZS. Po obiedzie odbędą się „igraszki zasadnicze" na Bukowej Górze — z udziałem studenckich zespołów artystycznych, występy solistów, wielka zabawa ludowa. Powrót do Lublina z pełnego wrażeń „Raidu" nastąpi o godzinie 21 samochodami.

W SZCZECINIE

Studenci Szczecina już od pierwszych ciepłych dni wiosny żyją wielką imprezą przedfestiwalową, która odbędzie się w dniu 21 i 22 bm. Punkt pierwszy programu — OSOSO. Potem wycieczka w nieznane. Przodownicy pojadą żaglówkami (nocny rejs). W nieznanej krainie, przy dźwiękach orkiestry upłynie wielki dzień studentów Szczecina!

W STALINOGRODZIE

Przysłowie mówi: lepiej późno niż wcale. Można dodać: byleby tylko nie za późno. A wszystko do niedawna wskazywało, że w Stalinogrodzie tak właśnie będzie z organizacją imprez ogłoszonych w „Przedfestiwalowej Wiośnie Żakowskich Igraszek". Trudno bowiem organizować igraszki, skoro w zarządach uczelnianych ZMP (np WSP) nic o nich nie było wiadomo. Teraz już wiedzą i działają.

2 maja miał powstać międzyuczelniany komitet organizacyjny, który m. in. zajmie się przygotowaniem wielkiego turnieju inteligencji — OSOSO. Sama impreza, jak również barwne plakaty, które przygotują studenci stalinogrodzkiej ASP, przyciągną do sali WSE w dniu 21 maja o godz. 18 setki studentek i studentów. Odpowiadając na pytania OSOSO walczyć oni będą o prawo uczestniczenia w Festiwalu. Po turnieju zwycięzcy i pokonani oraz kibice tej imprezy bawić się będą na wielkiej zabawie-festynie.

Jesteśmy przekonani, że w najbliższym czasie będziemy mogli poinformować czytelników z innych środowisk o nowych pomysłach i imprezach zorganizowanych przez studentów uczelni stalinogrodzkich.

W POZNANIU

— Obecnie u nas równie trudno otrzymać w kioskach POPROSTU, jak do niedawna „DOOKOŁA ŚWIATA" — mówią studenci poznańscy.

Pomysł „Wiosny Żakowskich Igraszek" spotkał się tu z entuzjastycznym przyjęciem. Do OSOSO przygotowują się prawie wszyscy studenci, natomiast gorzej jest z turniejem krasomowczym — po prostu nie zdążą, bowiem na uniwersytecie sesja rozpoczyna się już 13 maja.

W niedzielę 8 maja studenci WSE organizują wielki festyn w Puszczykowie — pięknej miejscowości letniskowej pod Poznaniem. Pogodę już zamówili.

W OLSZTYNIE

Olsztyńska Wyższa Szkoła Rolnicza nie ma starych tradycji żakowskich — istnieje zaledwie 5 lat. Natomiast Ziemia Warmińsko-Mazurska ma swoje bogate, słowiańskie tradycje, zwyczaje, własną regionalną kulturę. I z tą regionalną kulturą studenci Olsztyna pragną się jak najbardziej zapoznać — aby moc na Festiwalu zaprezentować ją młodzieży całego świata. Dlatego też zaprosili na przedfestiwalowy festyn działaczy warmińskich, poetów i pisarzy Ziemi Mazurskiej.

Festyn odbędzie się 15 maja. Zacznie się o godz. 11 igrzyskami sportowymi, które trwać będą do obiadu. Po południu nad jeziorem nastąpi spotkanie z literatami i działaczami Warmii i Mazur: Marią Zientarą-Malewską, Michałem Lęgowskim, Teofilem Ruczyńskim, doktorem Gębikiem i innymi. W programie przewidziane są recytacje, gawędy w narzeczu mazurskim i piosenki. Zespół taneczny WSR (zakwalifikowany do eliminacji centralnych) odtańczy mazura i taniec warmiński — kosejdor.

W drugiej części festynu przewidziana jest wielka zabawa taneczna w kortowskim parku, nad jeziorem, na specjalnie zbudowanym przez studentów parkiecie, przeplatana „igraszkami studenckimi" — czyli skeczami, dowcipami, wesołym monologiem, międzywydziałowymi konkursami błyskawicznymi itp. Każdy wydział przygotowuje swój specjalny program, a więc będą igraszki rybackie, zootechniczne, rolnicze i mleczarskie. Park i jezioro wieczorem będą iluminowane.

Organizatorem festynu jest Komitet Uczelniany ZSP — niewątpliwie pomoże mu w tej trudnej pracy organizacja ZMP i wszyscy studenci. Patronat nad festynem objął Rektorat.

Ogólnopolska Studencka Olimpiada Szybkiej Orientacji

Regulamin

1. W OSOSO bierze udział każdy student (tka) który (a)... — lubi różne konkursy, a w tym wypadku spróbowałby odpowiedzieć na 25 pytań dot. ogólnych zagadnień młodzieżowych, naukowych, politycznych, kulturalnych, rozrywkowych itp.,

— nie zmartwi się trudnością odpowiedzi na niektóre pytania ani nie wyrzeknie się ewentualnie zdobytego tytułu Mistrza Szybkiej Orientacji.

— i bardzo ucieszy się, jeśli dzięki trafnym odpowiedziom na większość pytań zdobędzie prawo uczestnictwa w V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów.

2. Redakcja POPROSTU w porozumieniu z terenowymi instancjami ZSP ustala dla poszczególnych środowisk i uczelni sale, w których odbędzie się Olimpiada. Wykaz tych sal niezależnie od ogłoszeń lokalnych zostanie opublikowany w POPROSTU z dnia 15 maja br.

3. W sobotę 21 maja o godz. 18 uczestnicy OSOSO zbierają się w wyznaczonych salach. Dla ułatwienia zadania sobie i jurorom każdy przynosi wycięty (lub przerysowany) z jednego z numerów POPROSTU kupon uczestnika (kupony te są zamieszczane w n-rach z dnia 17 kwietnia oraz 1, 8 i 15 maja), dobrze piszące wieczne pióro i podkładkę do pisania (np. zeszyt lub gazetę).

4. Po zajęciu przez wszystkich miejsc, przewodniczący jury (w skład którego wejdą przedstawiciele Redakcji POPROSTU, pracowników naukowych, ZU ZMP i KU ZSP) otwiera otrzymaną z Redakcji zalakowaną kopertę zawierającą pytania Olimpiady, które następnie jeden z członków jury zaczyna g ł o ś n o, p o w o l i i w y r a ź n i e odczytywać. Każde pytanie zostanie odczytane dwukrotnie, a po nim nastąpi określony przy danym pytaniu czas ciszy przeznaczony na wpisanie do kuponu odpowiedzi, oczywiście bez wzajemnego porozumiewania się lub odpisywania! (To nie egzamin!).

5. Po zakończeniu Olimpiady jury zbiera wypełnione kupony, a następnie ogłasza prawidłowe odpowiedzi na poszczególne pytania. Dzięki temu każdy z uczestników pamiętając swoje odpowiedzi i znając zasady punktowania może obliczyć swoją punktację niezależnie od obliczeń jury.

6. Bezzwłocznie po ogłoszeniu odpowiedzi jury przystępuje do sprawdzania odpowiedzi i obliczania punktacji według zasady:

— za każdą odpowiedź trafną — 1 punkt dodatni,
— za każdą odpowiedź błędną,
poprawioną lub przekreśloną — 0,1 punkta ujemnego.

7. Po obliczeniu punktacji jury przyznaje tytuły Mistrzów Szybkiej Orientacji tym, którzy spośród uczestników OSOSO z danej uczelni uzyskali najwyższą ilość punktów, przy czym ilość Mistrzów = 1/10 ilości uczestników (np. jeśli studenci danej uczelni oddadzą ok. 80 kuponów — tytuły MSO uzyskają ci spośród nich, którzy w punktacji zajmą 8 pierwszych miejsc).

8. W tym samym czasie, gdy jury będzie obliczało punktację — w poszczególnych salach odbędą się zorganizowane przez ZSP wiosenne zabawy studenckie dla uczestniczek i uczestników Olimpiady. Podczas zabawy jury ogłosi nazwiska i punktację Mistrzów Szybkiej Orientacji. Punktacje pozostałych uczestników mogą być ogłoszone tylko na ich życzenie. Ewentualne reklamacje uczestników jury przyjmuje i sprawdza wyłącznie podczas tej zabawy zwracając równocześnie kupony tym uczestnikom, którzy nie uzyskali tytułu MSO.

9. Kupony Mistrzów Szybkiej Orientacji zostaną przesłane do Redakcji POPROSTU celem opublikowania nazwisk i punktacji oraz wyłonienia Mistrzów, którzy w skali ogólnopolskiej uzyskali najwyższą punktację, a tym samym zasłużyli na uczestnictwo w Festiwalu.

10. Wszelkie zapytania w sprawach regulaminowych, żądania wyjaśnień itp. należy nadsyłać do Redakcji POPROSTU, która udzieli odpowiedzi na łamach pisma, w n-rze z 15 maja.

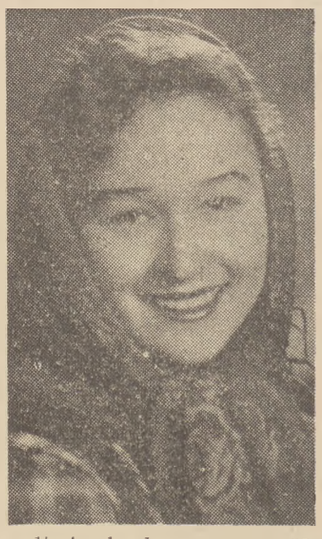

zdjęcie konkursowe nr 22

zdjęcie konkursowe nr 23

zdjęcie konkursowe nr 24

zdjęcie konkursowe nr 25

zdjęcie konkursowe nr 26

zdjęcie konkursowe nr 27

Prof. dr J. Hochfeld odpowiada na wątpliwości studentów UW

Na zajęciach proseminaryjnych z materializmu dialektycznego i historycznego, poświęconych zagadnieniu demokracji proletariackiej, studenci III roku psychologii UW wysunęli szereg wątpliwości dotyczących m. in. funkcjonowania organów władzy ludowej w Polsce. Wyrazili oni przy tym życzenie spotkania się z profesorem Katedry Materializmu Dialektycznego i Historycznego UW, a zarazem posłem na Sejm PRL — Julianem Hochfeldem. I oto...

— Kiedy dowiedziałem się — powiedział na wstępie prof. Hochfeld — że wysunęliście w czasie ćwiczeń różne istotne wątpliwości natury nie tylko i nie tyle teoretycznej, ile praktycznej, pomyślałem, że warto skorzystać z Waszego zaproszenia i porozmawiać z Wami na te tematy. Wysunęliście m. in. zastrzeżenia co do sposobu funkcjonowania Sejmu PRL. Mieliście więc w związku z tym — i nie tylko w związku z tym — święte prawo domagać się spotkania z posłem. Ja co prawda jestem posłem z innego okręgu wyborczego, jednakże pracuję na Uniwersytecie Warszawskim, uważałem więc za swój obowiązek przyjść do Was. Sądzę zresztą, że nie jest dobrze, iż posłowie warszawscy i radni m. Warszawy nie spotykają się z młodzieżą i pracownikami Uniwersytetu Warszawskiego.

Gdy prof. Hochfeld wezwał po tym wstępie do zadawania szczerych pytań — pytania te posypały się zaraz, bez tradycyjnego wyczekiwania.

— Nie rozumiem — powiedział np. kol. Paleski — dlaczego w naszym Sejmie panuje zawsze taka jednomyślność. Sejm jest przecież reprezentantem całego społeczeństwa, a w społeczeństwie istnieją różnice zdań, które powinny znajdywać odzwierciedlenie w Sejmie.

Kol. Szeller dodał, że nasza propaganda jest zła, często „lakieruje" rzeczywistość, nie odsłania odważnie prawdy, choćby to była prawda przykra. Przecież nie jest u nas tak różowo ze stopą życiową. Jeśli ktoś zarabia 600 zł miesięcznie, jak choćby jego matka, to do niego nie trafia szereg artykułów, które mówią ogólnie o wzroście stopy życiowej, a pomijają realne trudności realnych obywateli. Siła naszej ideologii polega na prawdzie i tę prawdę trzeba mówić zawsze. Jak jest choćby ze sprawą stosunku produkcji środków produkcji do produkcji środków spożycia? To nie jest dla nas sprawa zupełnie jasna.

Wokół takich i podobnych zagadnień grupowały się liczne pytania, zadane prof. Hochfeldowi. Na gruncie tych pytań potoczyła się swobodna, szczera i serdeczna rozmowa, w której prof. Hochfeld powiedział m. in.:

O WIĘZI Z MASAMI

— Demokracja jest, jak wiadomo, formą państwa a państwo jest organem panowania klasowego, instrumentem, przy pomocy którego klasa panująca realizuje swe interesy.

— Demokracja burżuazyjna jest demokracją ograniczoną. Poza ramy burżuazyjne, poza kapitalistyczny ustrój wyzysku wykroczyć ona nie może. Jeśli burżuazja i jej partie polityczne szukają więzi z masami, to nie dlatego, by realizować ich interesy, ale dlatego, by je oszukać. Trwała więź organów państwowych z masami ludowymi jest w ustroju burżuazyjnym niemożliwa wskutek zasadniczej sprzeczności między aparatem państwowym, powołanym w ostatecznym rachunku do zabezpieczenia interesów wyzyskującej mniejszości, a dążeniami wyzwoleńczymi wyzyskiwanych mas. Taka więź jest też w istocie burżuazji niepotrzebna. Potrzebny jest jej system oszukiwania mas.

Natomiast dla państwa proletariackiego, którego historycznym celem jest zbudowanie ustroju socjalistycznego, więź z masami jest niezbędna. System państwa proletariackiego, którego najgłębszą cechą jest ów mechanizm związku partii proletariackiej z masami ludowymi za pośrednictwem rozlicznych transmisji, odpowiada w sposób konieczny istocie tego państwa. W sposób konieczny — to znaczy: w sposób prawidłowy, właściwy ustrojowi ekonomicznemu, bazie ekonomicznej, charakteryzującej się prawem zaspokajania materialnych i duchowych potrzeb mas ludowych. Oto gdzie leży kryterium obiektywnej wyższości demokracji proletariackiej, tj. koniecznego, prawidłowego i zarazem niezbędnego systemu rządów w państwie proletariackim — nad demokracją burżuazyjną.

Jednakże z tego, że ów system jest niezbędny, aby socjalizm został zbudowany, z tego, że odpowiada on w sposób konieczny, prawidłowy istocie celów, do których realizowania powołane jest państwo proletariackie — z tego nie wynika, że powstaje on całkowicie samorzutnie, żywiołowo. Przeciwnie, wiele jest przeszkód na tej drodze, wiele było i jest braków i niedociągnięć, wiele błędów i wypaczeń.

— Czy z tego wynika — mówił dalej prof. Hochfeld — że u nas brak było w ogóle więzi z masami, inicjatywy mas, entuzjazmu mas? Taka teza byłaby jawnym nonsensem. Twierdzić, że władza ludowa opierała się u nas wyłącznie na sile, może tylko głupiec. Do wielu bowiem rzeczy można zmusić siłą — tylko nie do myślenia, do nowatorstwa, do racjonalizatorstwa, do podwyższania wydajności pracy, do entuzjazmu w pracy. A jeśli pominąć już wszystko inne to przecie pozostaje fakt, że ów ogromny skok ekonomiczny, który został dokonany w naszym kraju, to rezultat ogromnego poświęcenia, talentów twórczych, entuzjazmu mas ludowych.

Jednakże błędy i wypaczenia były i ciągle jeszcze są. Gdzie leży ich źródło? Na pewno przede wszystkim w zjawisku, które określamy dziś jako „beriowszczyznę", a które zaważyło w pewnym stopniu na zdarzającym się gdzieniegdzie odchodzeniu od leninowskich zasad demokracji proletariackiej. Wiele zaważyły tu nawyki i przywary dnia wczorajszego, ciążące na nas wszystkich, wiele zaważył brak doświadczenia ludzi aparatu partyjnego i państwowego, pracujących w terenie w bardzo trudnych warunkach?

Krytyka wypaczeń — mówił prof. Hochfeld — jest niezbędna. Ale nie zapominajmy, że taką krytykę można prowadzić z lewa i z prawa. Krytyka z lewa — to krytyka mas ludowych, krytyka ludzi uczciwych, do których trzeba podchodzić z całą ufnością. To na pewno także Wasza krytyka. Błąd polegał często na tym, że za tę uczciwą i ostrą krytykę przylepiano temu i owemu etykietkę wroga lub człowieka „obcego ideologicznie". Ile razy i u nas na Uniwersytecie tak robiono?

Ale jest i krytyka z prawa. Przecież toczy się u nas walka klasowa, przecież wróg nie śpi. Próbuje też on wykorzystać po swojemu ową falę politycznego ożywienia w ostatnim okresie. Im głębsza i silniejsza będzie nasza więź z masami, im skuteczniej będziemy umieli przekonywać uczciwych, lecz nie do ostatka przekonanych, im lepiej nauczymy się wydobywać niewyczerpane pokłady twórczej energii i uczciwej, dobrej woli mas — tym większe będą nasze sukcesy w walce z wrogiem, z owymi pseudokrytykami z prawa.

Można by zatem powiedzieć, że właściwy stosunek do krytyki z lewa warunkuje sukcesy w walce z pseudokrytykami z prawa. Bo w końcu wroga trzeba bić — to mówimy otwarcie. Nie możemy pozwolić, by wróg nam przeszkodził w realizacji naszego świętego celu, w budowie socjalizmu, w podniesieniu dobrobytu mas ludowych, by podważał niepodległość naszej ojczyzny. Trzeba być czujnym.

O PRACY SEJMU

Prof. Hochfeld przeszedł z kolei do następnej grupy zagadnień, tj. do sprawy funkcjonowania Sejmu, zadań posła na Sejm:

— Czy zadaniem posła jest biernie odzwierciedlać wszystkie nastroje mas? Chyba nie. Przecież działamy w warunkach walki klasowej, w warunkach wpływu wrogiej propagandy, w warunkach, na których ciążą nawyki i przywary dnia wczorajszego. Przecież wśród mas są różne grupy ludzi: mniej i bardziej uświadomionych, mniej i bardziej rozumiejących mechanikę życia społecznego, mniej i bardziej podatnych na drobnomieszczańskie wpływy.

Działacz nigdy nie odzwierciedla biernie nastrojów, on na nie wpływa, on — działa. Bierne przenoszenie nastrojów — to demagogia, a nie realizacja istotnych interesów ludzi pracy. Rzeczą działacza jest z dołu do góry przenosić najlepsze doświadczenia, a także troski, kłopoty, życzenia mas ludowych, dbać o to, aby życzenia te w sposób najbardziej skuteczny i celowy były realizowane. Rzeczą działacza jest jednak zarazem przenosić z góry do dołu wiedzę o rzeczywistości społecznej, dobrą informację polityczną, socjalistyczną świadomość, marksistowską ideologię, zrozumienie, jakie środki prowadzą do jakich celów w określonych warunkach.

— Pytacie — mówił prof. Hochfeld — dlaczego u nas nie ma w Sejmie opozycji. Jaka opozycja jest u nas potrzebna? Przecież opozycja powstaje nie na gruncie biernego odzwierciedlania różnorakich nastrojów mas, lecz na gruncie istotnych sprzeczności odzwierciedlanych w programach i w polityce stronnictw. Parlamentaryzm burżuazyjny — jeśli istnieje — musi te sprzeczności odbijać i o tym już mówiłem.

Nasz Sejm nie musi i nie powinien być forum, na którym kułacy i inni istniejący jeszcze u nas bourgeois zwalczaliby budownictwo socjalistyczne. Nasz Sejm jest i powinien być organem władzy, której istota polega na tym, iż klasa robotnicza powołana obiektywnie do realizacji socjalistycznego celu, skupia wokół siebie nieproletariackie warstwy pracujące w imię tego socjalistycznego celu.

Czy są jakieś istotne, ważne sprawy, które dzielą masy ludowe reprezentowane przez tych działaczy w Sejmie? Czy może sprawa niepodległości naszego kraju, sprawa obrony naszych granic, sprawa walki o pokój — to jest taka sprawa? A może sprawa realizacji prawa zaspokajania potrzeb szerokich mas na gruncie rozwoju produkcji — to jest taka sprawa? Przecież nie.

A więc gdzie tu miejsce na opozycję? Nikt wszak nie będzie wzywał, aby tworzyć sztucznie opozycję w oparciu — o niewiedzę. Czyjeś mylne przekonanie, że określony jasno cel da się osiągnąć przy pomocy niewłaściwych środków, nie może być podstawą do organizowania opozycji.

— Jednakże — stwierdził prof. Hochfeld — z tego nie wynika, że nie może być w Sejmie różnic zdań, że Sejm nie powinien krytykować sposobu działania poszczególnych resortów, nie powinien wnosić określonych zmian do tych i innych wniosków rządowych. Słowem — Sejm nie powinien być taki „grzeczny", jak dotąd bywało.

Trzeba tylko powiedzieć, że także w tym zakresie niejedno się zmienia. Nie chodzi tu o plenarne posiedzenia Sejmu, chodzi przede wszystkim o pracę komisji sejmowych i o pracę posła w terenie. Wiecie przecież, że komisje sejmowe były ostatnio terenem żywych dyskusji i krytyk, że komisja budżetowa wniosła poważne poprawki i zmiany do rządowego przedłożenia budżetowego na rok 1955, choć nie naruszyła istotnych założeń tego budżetu. Jednocześnie należy stwierdzić, że więź wielu posłów i całych zespołów poselskich z wyborcami jest zbyt słaba, że cierpi na tym praca terenowa posłów.

O WARUNKACH BYTOWYCH LUDNOŚCI

Prof. Hochfeld mówił również o poruszonym przez dyskutantów zagadnieniu warunków, w których żyją ludzie pracy.

— Jaka część dochodu narodowego powinna być przeznaczona na inwestycje, a jaka na konsumpcję, w jakim tempie powinny przyrastać środki produkcji, a w jakim środki spożycia — to nie jest rzecz dowolna. Proporcje muszą być tu ustalane szczególnie uważnie, choć oczywiście błędy mogą powstać.

Jest rzeczą niewątpliwą, że możność zaspokajania rosnących potrzeb konsumcyjnych zależy od szybszego tempa rozwoju produkcji środków produkcji. Jest też rzeczą niewątpliwą, że pod tym względem Polska miała i ciągle jeszcze ma do odrobienia szczególnie swoje zacofanie ekonomiczne, które zawdzięczamy dawnym naszym klasom panującym. Jest dalej rzeczą niewątpliwą, że inaczej moglibyśmy ustalać proporcje, gdyby nie konieczności wywołane niekwestionowaną przez nikogo potrzebą zabezpieczenia naszej niepodległości w niełatwej sytuacji międzynarodowej. I jest w końcu rzeczą niewątpliwą, że dziś owym głównym ogniwem, za które należało uchwycić, aby zabezpieczyć możliwość szybszego zaspokajania potrzeb szerokich mas, jest rolnictwo, którego podniesienie zresztą wymaga jednocześnie rozwoju produkcji przemysłowej w zakresie sprzętu rolniczego, nawozów sztucznych itp.

— Trudno jest — ciągnął prof. Hochfeld — kwestionować czyjekolwiek prawo do domagania się

(Dokończenie na str. 7)

Zadanie 55.

Stosunek do tradycji filozoficznej

W prasie angielskiej często spotykamy portret i złotą myśl jednego z wielkich filozofów-materialistów. Reprodukujemy wycinek. Pytanie pierwsze: kogo przedstawia rysunek? Pytanie drugie: w jakim celu rysunek ten został zamieszczony w angielskim czasopiśmie?

said

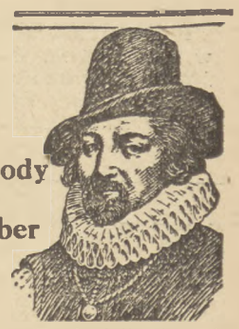

"A healthy body is the guest-chamber of the soul"

Happiness shines through the eyes of the healthy and contented. But the unfit and ailing are easily depressed. When the bodily functions lose tone, when a man feels low and out-of-sorts, it is important to see that the bowels maintain their regular habit—for irregularity in this matter is one of the worst enemies of cheerfulness. Beecham's Pills will always act as a gentle, natural corrective. Start taking Beecham's Pills to-day and look after yourself! 1/6 and 3/8 per box.

BEECHAM'S PILLS
Worth a Guinea a Box

Zadanie 56.

Stary warsztat chiński

Czym się zajmują robotnicy, których widzicie na ilustracji?

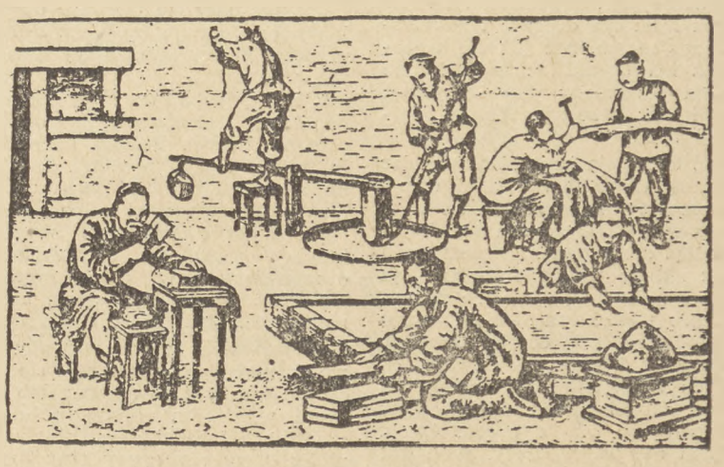

Dyskutujemy o systemie studiów (4)

To jeszcze nie wszystko

Dobrze, że POPROSTU poruszyło sprawy, o których dotychczas mówiono półgłosem, co nie stwarzało ani zdrowej i sprzyjającej nauce atmosfery, ani nie rozwiązywało naszych kłopotów. Wierzymy, że Ministerstwo życzliwie ustosunkuje się do naszych próśb, bo tylko w takim wypadku cała dyskusja posiada znaczenie.

Z myślą przewodnią artykułu pt. „Można się nie zgodzić" — zgadzam się. Uważam nawet, że propozycje autorów są jeszcze niewystarczające. Trudności nasze mogą w pełni rozwiązać dopiero bardziej radykalne pociągnięcia. W zakresie dyscyplin humanistycznych wysuwam następujące propozycje:

I. Zastąpienie niektórych wykładów kursowych — wykładami monograficznymi — naturalnie na starszych latach (np. wykłady z historii literatury polskiej na drugim i trzecim roku filologii polskiej). Podręczniki i opracowania, mimo różnych zastrzeżeń, mogą dać elementarną kanwę, szkielet synchronizujący fakty, a wykładowca zawsze mógłby uzupełnić trudniejsze partie materiału. To byłoby pierwszym krokiem w nauce samodzielności myślenia i studiowania. Wykłady kursowe zmuszają profesorów do powtarzania mnóstwa faktów nieraz dobrze znanych z podręczników dla szkół średnich. Jest to zbędne marnowanie czasu, powoduje „szkolarstwo", przyczyniając się do niedołęstwa myślowego i lenistwa.

II. Rozsądne traktowanie dyscypliny studiów — niech przestanie ona być celem sama dla siebie. Dyscyplina studiów wtedy jedynie spełni zadanie któremu służy, gdy wszystkie zajęcia będą prowadzone na odpowiednim poziomie. A tak nie jest, chociażby dlatego, że obecny system stosowania dyscypliny zapewnia frekwencję na najgorszym nawet wykładzie.

Wszędzie wcześniej czy później tworzą się grupki ludzi uczących się razem. Uważam za całkowicie wystarczające, gdy jeden członek z takiej grupy uczęszcza na wykłady, które mają wyłącznie charakter dyktanda lub powtórki skryptu.

III. Wprowadzenie pięcioletnich studiów najwłaściwiej rozwiąże problem przeciążenia. Skreślenie jakichkolwiek zajęć jest niesłuszne — powodowałoby tylko jeszcze większe dyletanctwo, które i tak już jest znaczne. Wręcz odwrotnie: niektórym przedmiotom należałoby powiększyć jeszcze limit godzin.

JANUSZ TERAKOWSKI
Uniwersytet Jagielloński

Zmora „okienek"

Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem artykuł pt. „Można się nie zgadzać", zamieszczony w 14 n-rze POPROSTU i chociaż jestem dopiero studentem I roku — z całym rozmachem i obydwoma rękami podpisuję się pod jego treścią.

Idąc na wyższe studia myślałem, że wreszcie skończy się szkolny system wyuczania „od kreski do kreski", że wreszcie zacznę studiować w całym tego słowa znaczeniu, że dzięki pomocy profesorów i asystentów posiądziemy naprawdę obszerną wiedzę. Stało się jednak inaczej. Od razu zarzucono nas niezliczoną ilością wykładów, ćwiczeń, kolokwiów i seminariów. Na wytężoną pracę i na wysiłek byliśmy przygotowani, lecz taka ilość zajęć przytłoczyła mnie zupełnie. Nałożono na nas moc obowiązków nie dając tym samym zupełnie możności wypełnić ich uczciwie.

Weźmy przykładowo nasz rok. Mamy przeciętnie 6 godz. dziennie zajęć na uczelni i w teorii nie można narzekać na przeciążenie. W rzeczywistości jest inaczej — mamy bowiem zajęty dzień prawie przez 12 godzin, gdyż między wykładami są tzw. „okienka". Uczyć się wykorzystując takie godzinne przerwy nie każdy potrafi, a zresztą taka nauka może ograniczać się tylko do bezmyślnego wkuwania materiału.

Po 10 czy 12 godzinnym pobycie na uczelni każdy z nas jest zmęczony do tego stopnia, że aby wziąć książkę do ręki, trzeba się naprawdę zmuszać.

Więc kiedy i jak się uczymy? Uczymy się albo w soboty i niedziele, albo późno w nocy. Uczymy się bez zapału, bez tej pożądliwości wiedzy i wiadomości, która powinna cechować nasze młode umysły. I nic dziwnego, że kiedy przyjdzie kolokwium — staramy się umieć tylko niezbędną część materiału oraz wszelkimi sposobami oszukać asystenta, który nas egzaminuje. Nic też dziwnego, że jak tylko można „urywamy się" z wykładu, aby chociaż w tym czasie samemu się pouczyć. Później przedstawia się jakieś fikcyjne „usprawiedliwienie" nieobecności na wykładach.

JANUSZ RÓŻYCKI
AM — Warszawa

Dyscyplina musi pozostać, ale...

Uważam, że domaganie się zniesienia dyscypliny studiów może wypłynąć tylko od wrogów naszego ustroju. Dyscyplina musi pozostać, ale stanowczo w innej formie. Obowiązkiem każdego studenta powinno być terminowe przystępowanie do egzaminów i zaliczanie semestru.

Władze uczelniane powinny zrozumieć, że student jest już dojrzałym i odpowiedzialnym człowiekiem i że może mieć prawo gospodarowania swym czasem, że może chcieć chodzić na jedne wykłady, a inne woli zastąpić odpowiednią literaturą. Niech władze uczelniane postarają się zrozumieć, że za te pozytywne objawy samodzielności nie można stosować kar pieniężnych (obniżanie stypendium).

Ponieważ można się nie zgadzać, więc nie zgadzam się z przedstawionym przez Głowackiego i Ambroziewicza projektem podzielenia wykładów na takie, których musi się wysłuchiwać i takie, które można opuszczać. W praktyce takie rozgraniczanie będzie bardzo trudne, zostawmy więc decyzję samym słuchaczom.

A co do lekceważenia studentów I roku to może macie Koledzy trochę racji, ale pierwszoroczniacy na pewno będą czuli się obrażeni za to odmienne traktowanie. Myślę, że jeśli już żądamy reform to róbmy to śmielej. Niech reformy te dotyczą wszystkich studentów i wszystkich uczelni w całej Polsce.

J. GRODZIŃSKI
WSR — Olsztyn

Nie chcemy takich wykładów

Artykuł kolegów Wiesława Głowackiego i Jerzego Ambroziewicza jest najlepszym, jaki czytałem na przestrzeni ostatniego roku w POPROSTU.

Studiuję na II roku wydziału sprzętu mechanicznego Politechniki Warszawskiej. Nie będę narzekał na nadmiar zajęć: to zjawisko jest zbyt powszechne na naszej uczelni. Chciałbym natomiast poruszyć sprawę dyscypliny studiów i programów.

Jeden z profesorów wykłada u nas dwa i to bardzo ważne przedmioty: teorię mechanizmów i części maszyn. Profesor ten może się poszczycić znajomością na pamięć wszystkich czterech tomów „Wykładu Elementów Maszyn" prof. Morzyńskiego. W czasie wykładów pisze na tablicy i mówi też tylko do tablicy, zwracając się w stronę audytorium jedynie wtedy, gdy jest zbyt głośno na sali. Zakres wykładu nie przekracza 75 proc. materiału zawartego w w/w podręczniku.

Większość studentów nie przychodzi więc na wykłady tego profesora, mimo obowiązującej dyscypliny. Powiadomiony o tym fakcie dziekan co pewien okres czasu wysyła swego przedstawiciela dla sprawdzenia frekwencji. Sam profesor również bardzo często „puszcza w obieg" tzw. kartę obecności, wtedy jednak starostowie grup wpisują zazwyczaj obecność wszystkim studentom grupy, gdyż sami też na wykład ten rzadko przychodzą.

Jak można pogodzić taką sytuację z obecnie istniejącą dyscypliną studiów? Jak można było dopuścić do takiego zakłamania? Jak można zmuszać studentów, by przychodzili na wykłady, z których przecież nic nie korzystają?

STANISŁAW STEMPIEŃ
Politechnika Warszawska

DZIŚ 17 ZDJĘĆ W KONKURSIE NA NAJŁADNIEJSZY UŚMIECH STUDENTKI!

Zachowaj ten numer, bowiem po opublikowaniu nadesłanych zdjęć, w czerwcu br. POPROSTU przeprowadzi wśród wszystkich czytelników specjalny plebiscyt i wtedy odpowiesz, który uśmiech najbardziej Ci się podobał (udział w plebiscycie będzie również szansą do zdobycia nagrody).

Przypominamy: zdjęcia uśmiechniętych studentek nadsyłają same studentki oraz ich najbliżsi — w kwietniu i maju br. Koleżankom, które wg czytelników najładniej uśmiechają się — zostaną przyznane liczne i cenne nagrody; (wykaz ich ogłosiliśmy w 15 numerze). Nazwiska opublikujemy tylko za zgodą laureatek.

Pamiętaj: jedyną gwarancją otrzymania każdego numeru POPROSTU (a zwłaszcza ze zdjęciami konkursowymi) jest prenumerata pocztowa! Do 10 maja możesz jeszcze zaprenumerować POPROSTU na miesiąc czerwiec!

zdjęcie konkursowe nr 17

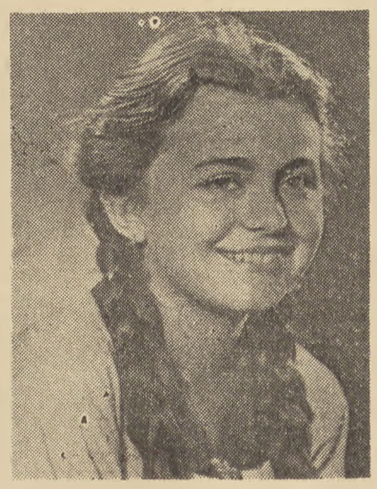

zdjęcie konkursowe nr 18

zdjęcie konkursowe nr 19

zdjęcie konkursowe nr 20

zdjęcie konkursowe nr 21

CZAS UMARŁYCH

PIERRE GASCAR

Pierre Gascar, autor odznaczonej w 1953 r. nagrodą Goncourtów powieści „Le Temps de Morts" („Czas umarłych") jest z zawodu dziennikarzem. W latach 1949—53 napisał powieści: „Les Meubles" i „Le Visage Clos" oraz nowele „Les Betes", (również wyróżnione przez jury nagrodą Goncourtów) a wreszcie „Le Temps de Morts". Powieść ta, podobnie jak wymienione już nowele, powstała pod wpływem osobistych wspomnień wojennych a szczególnie obozowych — Gascar spędził bowiem pięć lat kolejno w różnych obozach, jako jeniec wojenny.

Gascar należy do tych Francuzów, którzy zrozumieli grozę odbudowania Wehrmachtu i przeciwstawili się Europejskiej Wspólnocie Obronnej. „Jestem przeciw EWO jako autor „Czasu umarłych" ponieważ sam przeżyłem to, co w tej książce opisuję. Po to mówiłem o tych rzeczach, by się już więcej nie powtórzyły".

Poniżej zamieszczamy fragment „Czasu umarłych". Akcja toczy się w roku 1942 na Wołyniu. Narrator przebywa w niemieckim obozie jenieckim i pracuje na pobliskim cmentarzu, gdzie chowani są zmarli w obozie jeńcy francuscy.

Lejbowicza poznał narrator uprzednio, gdy pracował w pobliskim tartaku.

Wszystko zaczęło się na nowo. Codziennie jeden lub dwa pociągi przejeżdżały przez równinę, później nie było widać żadnego i dopiero z nadejściem nocy jeden pociąg toczył się wolno w ciszy. Na dróżce wiodącej do dworca pojawiły się nowe kolumny. Mniej liczne i mniej ważne niż pierwsze transporty, były jakby utworzone ze spóźnionych branek, z ludzi pozostałych przy życiu po odległej już, niemal zapomnianej katastrofie, z nędzarzy czy włóczęgów, pozbieranych w środku lata: nie docenili i roztrwonili jego szanse. Nic już nie wypadało z ich tłomoków: nikt się nie śpieszył i żołnierze bili idących z boku kolumny ze znudzeniem poganiaczy bydła.

Rzeź dobiegała końca, lecz jak udar słoneczny długo pod wieczór utrzymywała się na murach, gdzie między przypływami cienia łuszczyła się wciąż oparzelizna. Ludzie mówili sobie: „Mimo wszystko to kres ich cierpień". Wydawało się, że równina może wydać na śmierć tylko swój odsetek tych, co się ukrywali. Byliśmy w błędzie: przeciwnie, ci, których teraz Niemcy wysyłali na śmierć, zostali wzięci z szeregów rozproszonego ruchu oporu, który, o czym nie wiedzieliśmy, próbował aż do tego momentu utrzymać prawo do życia i ostatnią szansę.

Jeżeli wydawali się bardziej znużeni niż ci, którzy ich wyprzedzili na tej samej drodze, na drodze męczeństwa, którą utorowano im w czarnym blasku żużlu węglowego aż do parowozowni, to dlatego, że czuli się podwójnie pokonani. Osaczano ich w lasach, wyłapywano po nocach, na drogach czy wśród zarośli w wąwozach, gdzie kręcili się w kółko ogłupiali. W okolicach cmentarza widywaliśmy teraz często znudzonych żołnierzy w pełnym uzbrojeniu, którzy idąc tyralierą i schylając się od czasu do czasu po poziomki, zagłębiali się w las. Brodno było otoczone kordonem wojskowym, tereny dokoła przetrząsane krok za krokiem.

Ten stan oblężenia, którego ucisk czuliśmy także, wprowadził nieco ożywienia do obozu i na nasz cmentarz. Mieszkańcy okoliczni, Polacy, Ukraińcy, Białorusini, zdając sobie sprawę, że Niemcy chwilowo nie mają zamiaru wziąć się do nich, uczuli nagle potrzebę poruszania się we wszystkich kierunkach w obrębie pierścienia, który ich zamykał. Przychodzili obejrzeć cmentarz, którego sława już do nich dotarła. Trzymali się jeszcze trochę z daleka, stali bez ruchu, porozumiewając się między sobą gestami. Pewnego wieczoru dwie dziewczyny przysunęły się aż na skraj lasu, ponad pierwszy rząd grobów, mniej więcej do tego miejsca, w którym natrafiliśmy na trupy.

Jedna z nich była ciężka i bez wdzięku; druga wysmukła, wydawała się młodszą. Blask jej oczu, niebieskich czy zielonych, zakłócił mi spokój. Wołały do żołnierzy, że są Polkami. Uśmiech młodszej na tym tle, w wieczornym mroku, przy moim nastroju miał coś ze zjawiska. „Maria!" — zawołała wesoło, gdy któryś z Niemców, z nogą wspartą o grób, wypytywał je, jak im na imię i ile mają lat. Przysunąłem się do wartownika: dziewczyna spojrzała na mnie i odchodząc pozdrowiła mnie ruchem ręki. Nazajutrz, gdy szliśmy na cmentarz, zobaczyłem ją na progu nowej kantyny; odpowiedziała na mój ukłon.

Począwszy od tej chwili przywiązałem się do tego obrazu.

Rozpoczynały się pierwsze deszcze jesienne; z ogrodu cmentarz stał się wielkim grobowcem. Stopy grzęzły w ziemi, ziemia odzyskała swój ciężar, swoją głębokość, swój dar uginania się. Jesień znów zapowiadała urodzaj śmierci. Pociągi nadjeżdżały jeszcze z głębi równiny. Z białymi twarzami w obramowaniu wąskich okienek, pociągi pełne skazańców, wyzwolonych tym razem z krzyków pragnienia, nieruchomych, o zaciśniętych w geście rozpaczy kurczowo jak do wyżymania bielizny rękach. Myślałem o dziewczynie.

Przyzywałem ją w myśli, gdy nowe transporty ukazywały się na drodze wiodącej do dworca, lub gdy przed wieczorem grupy żołnierzy szybciej niż zwykle zagłębiały się w las. Trzy czy cztery razy dziennie, kiedy szlismy na cmentarz lub gdy stamtąd wracaliśmy, Maria stała na progu polskiej kantyny i uśmiechając się patrzyła na mnie w zamyśleniu. Moi koledzy trącali się łokciami, ale żaden z nich nie pisnął ani słowa. Przestając z umarłymi nauczyli się poszanowania tajemnic. A tutaj naprawdę kryła się jakaś tajemnica, przywiązanie do obrazu tej dziewczyny, co do której nie miałem żadnych danych, by uważać ją za istotę godną szacunku, było dla mnie jeszcze większą niespodzianką niż dla nich. Odganiałem z czoła kosmyki włosów mokrych od gęstego deszczu i prostowałem się: dużo było jeszcze rzeczy, o których trzeba będzie później świadczyć, dużo cierpień do podziału, dużo nadziei do zaspokojenia, dużo należało jeszcze zrobić kroków, które kiedyś będą się liczyły. Lecz ledwo znalazłem się na cmentarzu i stanąłem na skraju lasu pod gałęziami, z których kapały krople, wracałem znów do obrazu tej dziewczyny.

Byłem zatopiony w marzeniach, gdy pewnego ranka przywołał mnie Cordonat. Zaciągnął mnie na sam kraniec ostatniego rzędu mogił, gdzie przykryty deskami i starą plandeką, ażeby nie zalała go woda deszczowa, czekał na swego nieboszczyka zapasowy pusty grób.

Zrobił właśnie jego przegląd i znalazł, prócz innych jeszcze mniej uchwytnych śladów, które pozwoliło mu wykryć długoletnie doświadczenie kłusownika, niedopałek papierosa obcego pochodzenia. Był skręcony z papieru zeszytowego, z grubego tytoniu, jeszcze zielonego, pochodzącego zapewne z roślin, które w tym okresie nędzy hodowali chłopi puszczając je na słoneczną ścianę domu.

— Nie było go tu wczoraj — powiedział Cordonat. — Zauważyłem już od paru dni, że ktoś w nocy odsuwa deski i plandekę i potem kładzie na to samo miejsce. Zacząłem więc pilnować tego grobu. Inne dowody są mniej przekonywające, miałbyś zastrzeżenia. Ale ten!... Nie ma wątpliwości: ktoś tu przychodzi w nocy i sypia w tym grobie.

— No to co? — zapytałem.

— Co?!... Tym lepiej! — zawołał. — Tego człowieka na pewno ścigają. Niech przynajmniej raz ten cmentarz przyda się żyjącemu. (Cordonat nigdy nie był z usposobienia „cmentarnikiem"). Trzeba mu pomóc. Dziś wieczór na przykład moglibyśmy zostawić mu trochę żywności...

Nie wątpiłem w dobre serce Cordonata, ale pomyślałem sobie, że jednocześnie chciał w ten sposób uzyskać jeszcze jedną poszlakę. Z kraju przysyłano nam od paru tygodni trochę prowiantu, mogliśmy więc bez większego poświęcenia zostawić w grobie dla nieznajomego, który tam mieszkał, garść cukru, kawałek czekolady czy trochę sucharów wojskowych, pobranych z żelaznych racji, do których składaliśmy przeliczając skrupulatnie resztki, czerstwe i sypkie jak pokarm dla szczurów. Wieczorem, tuż przed opuszczeniem cmentarza, wpuściliśmy paczkę przez deski, po czym zasunęliśmy je. Nazajutrz paczka znikła. Na dnie grobu Cordonat znalazł kawałek papieru, na którym było napisanych ołówkiem kilka słów podziękowania „po angielsku". Drżała ręka, która kreśliła te słowa zapewne o świcie, w świetle przedzierającym się przez rozsunięte deski, w chwili kiedy powraca groza.

Wieczorem ograniczyliśmy nasze dary do kilku papierosów. Dołączyłem karteczkę: „Kim pan jest?" Odpowiedź, choć sprowadzała się tylko do inicjałów, była dla mnie jasna i wcale mnie nie zaskoczyła. Napisana została na skrawku papieru do pakowania: „I. L." Strzałka wskazywała, że mam odwrócić papier:

„Pan mnie zna, Peter = (arytmetyczny znak równania) ja znam pana. Milczenie. Pański kolega i pan: milczenie. Dziękuję". Poznałem, że to był Lejbowicz. Ale skąd on mógł wiedzieć, że to ja podrzuciłem papierosy i żywność i że ktoś jeszcze dzieli ze mną tajemnicę?

— Pewno w ciągu dnia kryje się gdzieś na skraju lasu i obserwuje nas — rzekł Cordonat.

Byłaby to szalona nieostrożność i Niemcy wypłoszyliby go już chyba dawno. Cordonat zgodził się z tym. Wymiany listów poprzez grób, lakoniczne, pełne trwogi karteczki, „żywy trup" Lejbowicz i jego wszechwidzące oczy, wszystko to urabiało we mnie przekonanie, że ocierając się stale o śmierć zaczynamy robić w niej jakiś wyłom. Zapomniałem o Marii. Podchodziła czasem o zmroku aż pod sam cmentarz, w chwili kiedy wrzuciwszy do grobu trochę żywności, porządkowaliśmy obaj na grobie deski i plandekę, kamienie, które ją przytrzymywały, z ukradkową gorliwością ludzi zastawiających sidła. Cordonat odnajdował w tym smak kłusownictwa. Prostowałem się i machałem ręką w kierunku Marii. Te manewry bawiły wartowników i odwracały ich uwagę od tajemniczych zabiegów nad pustym grobem.

„Jak się panu żyje?" — pytałem Lejbowicza i zostawiłem mu kilka kartek białego papieru. Jego odpowiedzi stały się trochę dłuższe, ale jeszcze mniej zrozumiałe. Źle mu się żyło. W ciągu dnia krył się zapewne gdzieś na wysokim drzewie, gdyż pisał:

„Jestem bardzo wysoko. Nie szukajcie mnie. Spojrzenie może mnie zdradzić. Widzę, jak idą i wracają. Powiedzcie mi, co słychać z „psami"? (te słowa były podkreślone). Kiedy nastanie jesień? Czy mam prawo nie poddać się wyrokom Opatrzności? Zresztą, to wszystko jest nie do wytrzymania i ja nie wytrzymam już długo! Gdyby mi tylko pozwolono mówić! Zostałbym zwolniony. Tak, żeby mi dali dojść do głosu! Czy słyszeliście o jakichś zwolnieniach w miasteczku? Milczenie. Dziękuję".

W ciągu następnych dni z trudem udawało mi się powstrzymywać Cordonata od przypatrywania się zaroślom na skraju lasu: jeszcze trochę, a zwróciłby uwagę strażników. Wiedziony instynktem człowieka przywykłego do przebywania w lesie i do tropienia zwierzyny znajdował podniecającą przyjemność w wyszukiwaniu powietrznej kryjówki Lejbowicza. Pewnego ranka przyłapałem go na tym jak siedział zwrócony plecami do lasu, wpatrując się w ukryte w ręku lusterko kieszonkowe, którym obracał powoli na wszystkie strony.

— Zapewniam cię, że on nie siedzi na żadnym z tych drzew — powiedział chowając lusterko do kieszeni. — Choćby był najlepiej zamaskowany i tak bym go wykrył. Żadne drzewo nie ma tak gęstych liści, żeby mogły zasłonić człowieka. Musiałby się zakryć gałęziami, ściętymi w innych partiach drzewa, a kolor liści, możesz mi wierzyć, zmienia się natychmiast po ścięciu gałęzi. Zapytaj go wreszcie, co jest na rzeczy?

Zadałem to pytanie Lejbowiczowi dołączając do listu garść sucharów.

„Nie mogę wam powiedzieć, gdzie jestem — odpisał Lejbowicz. — Nie piszecie mi nic o psach. A co do zwolnień? Czy uwalniają kogoś czasami? Jeszcze wczoraj przejechały trzy pociągi. W nocy na wagonach widać było jakieś świetliste znaki! Nie możecie tego wiedzieć! (Ostatnie słowa były podkreślone). Dziś rano miałem wymioty, nie strawiłem grzybów, które zjadłem na surowo. W tej chwili Bóg wstaje wcześnie. Wiatr również. Czyż oni nie mogliby zlitować się nade mną? Powiedzcie mi, czy to nie jest „w ludzkiej mocy"?

— Nie dowiemy się od niego niczego więcej — rzekł Cordonat, gdy przeczytałem mu ten ostatni list.

Brak składu i sensu w tych listach działał na niego przygnębiająco. Byliśmy zbyt blisko tamtej strony życia, żeby nie wywęszyć jej zapachu, gdy słowa stawały się tajemnicze i niezrozumiałe, gdy poprzez męczeńskie milczenie, tak jak w tych krótkich meldunkach, przebijały się tylko, niby gwoździe, tysiące wykrzykników. Żywiliśmy w dalszym ciągu ten grobowiec egipski, który zresztą w dwa dni później przesunął się dalej: śmierć zesłała Lejbowiczowi nowego sąsiada.

Cordonat zaofiarował się, że wykopie zapasowy grób, gdzie Lejbowicz znalazłby schronienie jeszcze tego wieczora: na dnie grobu zrobił ławeczkę z ziemi, ażeby śpiący mógł położyć na niej głowę. Pomagałem mu w tej pracy, przy której, jak przyznaliśmy się po krótkim czasie, było nam dziwnie nieswojo: mieliśmy wrażenie, że zabieramy się do chowania naszego niewidzialnego przyjaciela. Dary, jakie zostawiliśmy w grobie, były bardziej hojne niż zazwyczaj. Nie napisałem jednak listu: ton jego odpowiedzi mnie przytłaczał.

Lejbowicz dał znak życia dopiero po dwóch dniach (pisał te karteczki zapewne w ciągu dnia, na swoim drzewie czy w innym, nie znanym nam schronieniu). Troskliwość Cordonata — ławeczka usypana z ziemi — wstrząsnęła nim. Może wstrząsnęło nim także sąsiedztwo — całkiem świeże: zmarłego Francuza, którego pogrzeb musiał widzieć, gdyż ani na chwilę nie spuszczał cmentarza z oczu. Pisał:

„Wiem, że przyjdzie dzień, po którym nie będzie już poranka. Ostatniej nocy stukałem w ziemię przez całą godzinę z tej strony, gdzie leżą tamci. Mówię: godzinę, ale przecież mój zegarek nie chodzi. Miałem ochotę stukać tak całą noc. Dopóki stukam, żyję. Nawet tu, gdzie jestem w tej chwili, stukam, stukam, stukam. Każde stuknięcie znaczy: litości, litości! Zabili mi wszystkich, Peter, zabili wszystkich! Co to jest samotność?"

Nie mogłem już podtrzymywać tego dialogu, tej niewidocznej obecności, która wypełniała teraz cały mój ciasny światek. Nie mogłem patrzeć na korony drzew w lesie, nie mogłem patrzeć na równinę, po której wlókł się zawsze jakiś pociąg w bardzo wolnym tempie, nie mogłem patrzeć na pusty grób. Jak owe niestrudzone ptaki, spadające na ziemię niby kamienie i ledwie jej dotknąwszy, powracające natychmiast na drżącą gałąź jedną wśród setek innych, potem znów przyciągane do ziemi i znów wzbijające się w niebo, bardziej niż zdobyczy z ziemi czy z powietrza spragnione lotów po idealnych torach, po krzywych wyrażających jakieś tajone intencje, po proroczych stycznych, albo jak skazańcy przerzucani z jednej ostateczności potępienia w drugą, tak samo Lejbowicz przerzucał się z grobu na szczyt drzewa, zdatny już tylko na śmierć.

Chciałem go jednak uratować. Historia ze zwolnieniami, chociaż kładłem ją początkowo na rachunek obłędu (rachunek obłędu jakąż ma wagę i ciężar w porównaniu z nędznym łutem rozumu), wryła mi się dobrze w pamięć. Trzeba by zapytać o to Niemców lub Marię, ona wie na pewno, co się dzieje teraz w miasteczku.

Niemcy odpowiedzieli mi, że losy Żydów z Brodna (i z innych miejscowości zresztą również) należą już do przeszłości.

— Porozmawiajmy lepiej o Marii — mówili mi. — Ona ci się podoba, co, ty nicponiu?

Znosiłem ich żarty. Tak jest, miałem chęć porozmawiać z Marią. Jutro, gdy będzie przechodziła drogą, czy mógłbym dać jej znak, żeby podeszła bliżej? Na dwie minuty, nie pobędę z nią dłużej niż dwie minuty. Czułem się opłakanie. Wieczór zapadał zasnuty czarnymi chmurami, szybko płynącymi nad Wołyniem pełnym umarłych, nad dalekimi ogniami wojny, a ja tu niecierpliwiłem się, żeby dobić jak najprędzej swego godnego pośmiewiska targu — dwie minuty tego czasu! — byłem tutaj, z Lejbowiczem za plecami, czułem jego trwałe palce na swych ramionach.

Niemców bawił mój niepokój. — Może... — mówili mi wysyłając mnie do moich grobów. Wsunąłem kartkę do grobu: „Za dwa dni będę wiedział coś pewnego o zwolnieniach!"

Nazajutrz wieczorem Maria zjawiła się na drodze wraz że swą towarzyszką.

— Możesz ją zawołać! — wołali do mnie śmiejąc się wartownicy.

Zawołałem ją. Zobaczyła mnie. Dałem jej znak, żeby przybliżyła się do furtki wiodącej na cmentarz. Ale ona potrząsnęła głową przecząco i uśmiechnęła się. I już jej nie było. Zbladłem ze złości, ale w głębi serca nie przyznawałem się do uczucia. W nowym liściku, który znalazłem w grobie, Lejbowicz pisał:

„Stukam coraz, coraz mocniej. Nie pozostało mi nic innego tylko stukać, stukać, stukać".

Już nie wspominał o zwolnieniach.

Kilka pociągów ze skazańcami przejechało jeszcze po równinie. Gdy turkot kół ucichł, zdawało mi się, że słyszę za sobą głuchy, miarowy stukot uderzeń w ziemię, czy w pień, natrętny rytm, który pulsowanie krwi w skroniach, praca ostatniego tego lata dzięcioła, odgłos rąbania drzewa w oddali, turkot wózka wcielały w mglisty obraz pokoju.

rys. Jerzy Ćwiertnia

W kilku słowach o ekranie, scenie i powieści francuskiej

Specjalnie dla POPROSTU napisał Henry MAGNAN, kierownik Działu Kulturalnego paryskiego „Le Monde".

Paryski dziennik „Le Monde" uznawany jest powszechnie za najpoważniejsze, najbardziej solidne pismo burżuazji francuskiej, a nawet za jeden z najpoważniejszych dzienników mieszczańskich na świecie. Często cytowany przez prasę światową, nie jest również obcy czytelnikowi polskiemu. Pismo reprezentuje te koła burżuazji francuskiej, które usiłują przeciwstawić się dyktatowi amerykańskiemu i znaleźć dla Francji jej własną drogę. Robi to jednak dość niekonsekwentnie.

Henry Magnan, którego specjalnością jest krytyka filmowa, należy do grona najlepszych piór publicystycznych Francji i najlepszych znawców zagadnień filmu w Europie. W roku 1952 odbył długą podróż po Związku Radzieckim, z której przywiózł ciekawą serię reportaży publikowanych w „Le Monde", „Combat", a także w „Les Lettres Françaises".

W kwietniu br. bawił w Polsce jako sprawozdawca „Le Monde" na uroczystościach związanych z 10 rocznicą wyzwolenia obozów koncentracyjnych. Ostatnio napisał piękny, poetycki komentarz do popularnego we Francji (a miejmy nadzieję, że niedługo już i w Polsce) filmu „Varsovie quand même" („A jednak Warszawa"), którego twórcą jest jego żona, postępowy reżyser Yannick Bellon.

Magnan należy do tej części mieszczańskiej inteligencji francuskiej, która nie godzi się z wyrzucaniem za burtę swobód demokratycznych i walczy przeciw amerykanizacji życia intelektualnego we Francji. Artykuł, który przeczytacie poniżej (jakkolwiek nie podzielamy wielu zawartych w nim sformułowań) jest odbiciem tych właśnie poglądów.

Określenie zarówno ogólnej tendencji jak i jakiejś jednolitej linii we francuskiej twórczości filmowej, teatralnej i literackiej — byłoby rzeczą trudną.

Francja — jak mawiał jeden z naszych wielkich pamflecistów, Henri Rocheford — „jest krajem składającym się z 40 milionów obywateli... nie licząc niezadowolonych *). Przede wszystkim w sprawach artystycznych Francja jest zapamiętale indywidualistyczna, dziko indywidualistyczna, namiętnie indywidualistyczna.

Ale jak wiecie od czasów Woltera Francja jest również krajem paradoksów. Toteż owe 40 milionów indywidualistów tworzy bardzo szybko jeśli nie wspólnotę, to w każdym razie grupę stanowiącą większość o nie byle jakiej jakości.

Wewnątrz tej większości toczy się dyskusja nad zasadniczymi zagadnieniami. Utalentowane jednostki obserwują się, krytykują wzajemnie, aby w ostatecznym rozrachunku stworzyć jednak prawdziwe oblicze mego pięknego kraju, oblicze tak różnorodne i tak harmonijne zarazem.

Piszę to wszystko aby stwierdzić, że odnajduje się u nas te same zasadnicze problemy, co i u was, wyrażone — poprzez różnorodność talentów — w naszej twórczości filmowej, w teatrze, lub też przerzucając stronice naszych najlepszych powieści.

Rozpatrzmy rzeczy w kolejności:

Kinematografię francuską określają w największym skrócie nazwiska naszych reżyserów. Najlepszych oczywiście, gdyż reżyserów filmowych jest we Francji około dwustu. Nie mogę naturalnie wymienić wszystkich, ale René Clément („Bitwa o szyny", „Zakazane zabawy"), Claude Autant - Lara („Wcielenie diabła", „Czerwone i czarne") Jean Renoir („Wielka iluzja", „Zasada gry"), Jacques Becker („Goupil - mains - rouges", „Antoni i Antonina", „Falbalas"), René Clair („Nocne piękności", „Milion", „Niech żyje wolność"), André Cayette („Sprawiedliwości stało się zadość", „Przed potopem"), Jean Gremillon („Światło lata", „Niebo należy do was")... wszyscy oni i wielu innych wyrażają poprzez swą twórczość chęć zbudowania świata na podobieństwo pragnień wszystkich ludzi. Jedni dają wyraz swym dążeniom poprzez rzeczywistość, inni poprzez wspaniałe wyczucie feerii. Ale wszystkie te ścieżki łączą się w jedną wspólną drogę, która pozostaje drogą Republiki Francuskiej, zgodną z intencjami jej twórców z roku 1789 a wyrażonymi w haśle LIBERTE, EGALITE, FRATERNITE.

Zbyt często przeszkadza im cenzura. Miało to miejsce w wypadku doskonałego reżysera, odważnie mieniącego się komunistą, (którym osobiście nie jestem co nie przeszkadza mi w niczym podziwiać jego dzieło): Louis'a Daquin'a. Zakazano właśnie we Francji, pod pretekstem antykolonializmu, wyświetlania jego filmu nakręconego na podstawie powieści Guy de Maupassant'a „Piękny pan".

Vladimir Pozner i Roger Vailland (którego sztukę „Pułkownik Foster przyznaje się do winy" mogliście zobaczyć w Warszawie) dokonali bardzo wiernej adaptacji tej — klasycznej już we Francji — powieści. Lecz nie! Cenzura rządowa odmawia zezwolenia na rozpowszechnianie filmu. Ten zakaz z pewnością nie utrzyma się, ponieważ jesteśmy we Francji zbyt przywiązani do wolności, aby zbyt długo tolerować taki stan rzeczy. Niemniej cytuję ten wypadek (jak również analogiczny wypadek ze sztuką „Pułkownik Foster") jako przykład istniejącej sytuacji.

W teatrze możemy pozwolić sobie na dużo więcej śmiałości. Praktycznie prawie na każdą. Skutki tego bywają doskonałe, ale i bardzo złe.

Najgorsze — to historie zwane „bulwarowymi", w których Pan spotyka Panią o trzeciej, Pani poślubia Pana o czwartej i gdzie Pani zdradza Pana o piątej, respektując w ten (specyficzny) sposób klasyczną zasadę trzech jedności.

Doskonałe — to poważne próby tworzenia żarliwej dramaturgii, gdzie rzeczą najistotniejszą jest dialog oddany w służbę sytuacji prawdziwie dramatycznych.

Ta właśnie dramaturgia ma we Francji cudowny instrument: jest nim Théâtre National Populaire — Jean Vilar'a. Polacy znają go. Podjął się on interpretacji największych dramaturgów od Corneille'a do Victora Hugo, od Ajschylosa do Paul Claudela. I oczywiście podjął się on równocześnie zadania udostępnienia sztuki wielkich mistrzów tym wszystkim, którzy ich dotąd nie znali za pośrednictwem naszych najlepszych wykonawców: na przykład Gérarda Philipe'a, który jest — jak mi się wydaje — bardzo ceniony przez widzów polskich... obojga płci.

Zdecydowaliśmy się również na decentralizację teatru we Francji, aby nie zachowywać dla Paryża wyłączności dobrych przedstawień. W tym celu najlepsi ludzie teatru rozbiegli się w cztery strony świata, dla zapoznania mieszkańców Bretanii, Prowansji, Alzacji, Lotaryngii i innych okolic z twórczością Moliera, Szekspira, Bertholda Brechta, Racine'a, Tołstoja, Gogola lub Giraudoux.

Walczymy we Francji, zgodnie z tradycją Jacques'a Copeau, bardzo bliską tradycjom Stanisławskiego, o dobry teatr, bliski rzeczywistości: przedstawiający prawdę z wszystkim, co zawiera ona niezwykłego. Bo teatr powinien być wielką niespodzianką, która składa się jednocześnie z zachwytu i z rozpoznania w światłach rampy życia codziennego.

W wielu teatrach — zwłaszcza w lewobrzeżnym Paryżu — daje się zauważyć tendencja do takiego właśnie przedstawiania życia poprzez temperamenty młodych autorów, (jak na przykład: Arthur Adamov, Ionesco, Samuel Beckett, Ghelderode). Nazwiska te nie mają brzmienia francuskiego, rzeczywiście — są to przybysze. Ale mamy też Salacrou, Anouilh'a, André de Richaud, Georges Arnaud'a, Camus'a, J. P. Sartre'a, Audibertiego i dziesięciu innych, którzy są już rdzennymi Francuzami.

Poezja, święty ogień w obronie sprawiedliwości, wyczucie clipsy (skrótu myślowego — R. K.) i prawdziwie dramatycznej sytuacji, zamiłowanie do marzycielstwa związane z rzeczywistością tak ściśle, że się z nią prawie stapia... oto główne cechy współczesnego teatru francuskiego.

Odnajdujemy je i w powieści. Bo literatura francuska, spadkobierczyni tradycji Pani de la Fayette („Księżniczka de Clèves"), Stendhala, Flauberta — czerpie z tych wszystkich wartości. Co prawda od wyzwolenia wielu młodych ludzi, którzy poznali gorzki smak nieszczęścia, zdało sobie sprawę z nowych elementów rzeczywistości. Niemniej jednak nasz sposób pisania nie uległ zmianie i w tej dziedzinie panuje duże skostnienie.

Jest to tak dalece prawdziwe, że ostatnia powieść Pani Simone de Beauvoir *) („Les Mandarins") „Mandaryni", która otrzymała nagrodę Goncourtów (najtrafniejsze orzeczenie francuskiego jury literackiego) wywołała, mimo swych oczywistych zalet, liczne zastrzeżenia tylko dlatego, że była napisana „po nowemu". Ale przestaliśmy już zupełnie lubić ludzi, którzy dobrze piszą, lecz... nic nie mają do powiedzenia.

Wracając do wielkich tradycji powieści francuskiej staramy się przede wszystkim opowiedzieć fabułę. Możemy przepuścić ją następnie przez najróżnorodniejsze pryzmaty: wszystkie kolory z palety inwencji są do dyspozycji każdego twórcy. Ale coraz bardziej zależy nam na tym, aby twór literacki nie był ak-

*) Nieprzetłumaczalna gra słów. Sujet: poddany, obywatel, ale także — temat, powód. W tym wypadku: „40 milionów powodów niezadowolenia".

*) Wybitna pisarka francuska — żona J. P. Sartre'a.

List do redakcji

Plotka godzin wieczornych

W październiku, gdy z kilkudniowym opóźnieniem zjawiłem się na uniwersytecie, plotka o Irce wyglądała mniej więcej tak: „Była na egzaminie poprawkowym. Przyjechał po nią jakiś trzydziestoletni facet i razem wyjechali".

Fama jest jak śnieżka tocząca się po zboczu — w dolinę spada olbrzymi bałwan. Każde usta nadają jej inny kształt, każda godzina wzbogaca nowymi szczegółami. Po kilku dniach krążyła z ust do ust taka wersja: „Facet jest żonaty, ma troje dzieci. Zakochał się w Irenie na zabój, zabrał pieniądze i zostawił rodzinę bez środków do życia". Każdy szczegół tej wielkiej sensacji uniwersyteckiej złośliwie kierowano przede wszystkim do mnie. Mówiono, że podkochuję się w Irenie.

Mojego stosunku do Ireny nie można było w żadnym wypadku nazywać miłością. To prawda, że często widziano mnie z nią na zabawach, wieczornicach, że często rozmawialiśmy we wnęce wielkiego okna, w hallu uniwersytetu, podczas kwadransów akademickich. To prawda, że lubiłem ją bardziej, aniżeli wiele innych dziewcząt z roku. Może nawet najbardziej...

Irena była ładną brunetką, o dużych, piwnych oczach i uśmiechu, którego do dziś nie potrafię określić. Miała w sobie bez wątpienia wiele kokieterii: to wzniesienie brwi, przeciągły sposób mówienia i ruchy wprost wyzywające.

Na pierwszym roku zdawało mi się, że się w niej rzeczywiście podkochuję. Potem została przyjaźń. Ale nie przestano mówić o niej i o mnie z uśmieszkiem. Było mi z tym nawet dobrze... Niech tam sobie plotkują. Irenę to wszystko raczej w ogóle nie obchodziło. Była lubiana, koledzy mówili o niej często, niektórzy nawet za często. Koleżanki szeptały między sobą złośliwości. Zdaje się, że kryły w tych szeptach zazdrość.

I teraz, w pierwszych miesiącach naszego drugiego roku studiów, ta sensacja. Po tygodniu szeptano całe historie: „Jest podobno w Zielonej Górze. Facet zabrał całomiesięczną pensję i szastają forsą na prawo i lewo. Mieszkają w hotelu. Ktoś widział ich nawet na ulicy. Ponoć przystojny gość, elegancki. Z zawodu fryzjer. Proszę bardzo — Irena z fryzjerami. No... no... po niej wszystkiego się można było spodziewać. Kiedy ona zamierza przyjechać? Może w ogóle nie wróci na studia?"

Czekano na powrót Ireny i na skandal. Mówiono, że do Domu Studenckiego często przychodzi kobieta z trojgiem dzieci, pomstuje, histeryzuje, pyta czy Irena wróciła. Nikt właściwie nie wiedział gdzie ta kobieta mieszka, jak się nazywa. Sprzątaczki mówiły... Wystarczy!

Barwicki był w swoim żywiole. Wygłosił bardzo długie przemówienie na zebraniu ZD ZMP o moralności niektórych członkiń koła naszego wydziału i przedstawił cały fakt w kolorach w jakich dotąd nikt go nie przedstawiał. Ostatecznie taki wirtuoz retoryki jak Barwicki ma prawo nawet do przejaskrawienia.

Irena była na ustach całego uniwersytetu.

Studenci innych wydziałów zaczepiali nas na ulicy, w kawiarniach, bibliotekach i pytali jak wygląda ta „nasza", czy ładna, czy prędko wróci, albo oburzali się, domagali „wylania". Byli i inni, którzy radzili się zastanowić, zbadać „nie włazić z buciorami w cudze sprawy".

Koło ZMP, mimo świetnego przemówienia Włodzia, nie podjęło w sprawie Ireny żadnej decyzji. Nie zwołano zebrania roku czy grupy, do której należała „wyrodna studentka". Oficjalnie — milczano i nie usiłowano zatamować lawiny dalszych plotek.

Krystyna odciągała mnie na każdej przerwie w głąb hallu we wnękę wielkiego okna i paplała: Ohyda. Takie stworzenie nie powinno się nazywać kobietą. Wyobraź sobie: żona, troje dzieci. Ten mężczyzna oszalał chyba z jej powodu. Powiedz Kazik, czy to nie jest potworne? Zadna z nas...

Jej paplanina doprowadzała mnie do wściekłości. Najchętniej powiedziałbym wszystkim Krystynom szarpiącym co dzień Irenę jak sfora psów, że mam tego dość, nie wierzę, nie mogę uwierzyć.

Ale dlaczego nie miałbym wierzyć? Tak przecież mówią wszyscy...

Było bodajże 24 października kiedy Irena pojawiła się na uniwersytecie. Wszyscy czekali co ona powie, czy się zdradzi. Irka była jak przed wakacjami — bardzo rozmowna, wesoła, stale czymś zajęta. Starościnie przedstawiła zaświadczenie o ciężkiej chorobie ojca, z powodu której musiała pozostać w domu. Była jedynaczką. Komisja dyscyplinarna usprawiedliwiła ją.

Na roku nie wierzono. Wszyscy mówili, że to kłamstwo, wybieg, fałszywe zaświadczenie. Fryzjer musi mieć „chody" u któregoś z lekarzy jej miasteczka. Włodzio Barwicki miotał się jak człowiek, któremu po raz pierwszy mogą nie uwierzyć, choć dotąd wszyscy właśnie jemu wierzyli. Zachowanie Ireny wyprowadziło go z równowagi. „Taka kobieta" może z uśmiechem chodzić na wykłady, studiować? Wreszcie nie wytrzymał. On przecież powinien wychowywać ludzi, leczyć to co w nich złego, albo wykorzeniać to, co zaraża innych.

Nie wiedział czy Irenę należy wychować czy po prostu „wykończyć". W każdym razie coś musi zrobić. Porozmawiać!

Z jego ust Irena usłyszała wszystko. Nie byłem świadkiem ich rozmowy, ale wiem, że Włodzio nie ukrył przed nią niczego.

Irena „przygasła". Zwracała uwagę na każdy uśmieszek, każdą aluzję. Przestała chodzić na niektóre wykłady. Na roku mówiono, że udaje skruchę. Włodziowi podobno nie odpowiedziała w ogóle.

Dlaczego się nie tłumaczy? — to mnie najbardziej irytowało. Więc Krystyna i inni mówili prawdę?

Pewnego wieczoru wszedłem do niewielkiej kawiarni przy ulicy Grunwaldzkiej i w rogu sali zobaczyłem Irenę siedzącą przy filiżance kawy z jakimś tygodnikiem na kolanach. Ukłoniłem się i kiedy przywołała mnie do siebie skinieniem głowy, usiadłem. Zamówiłem kawę i mój ulubiony krem cytrynowy. Irena zapytała nagle:

— Kazik, czy i ty wierzysz w te historie, które opowiadają o mnie?

Milczałem.

— To Krysia! — wybuchnęła — Po co mam się usprawiedliwiać, tłumaczyć. Nonsens. Raz, nie uwierzą, po wtóre zostanie ten uśmieszek na twarzach kolegów, którzy o mnie słyszeli. Czy wiesz co mnie najbardziej męczy? Właśnie ten ich uśmieszek. Zdają się mówić: „Pięknie było, co? A może tak sobie teraz pogruchamy. Miłość nie złote runo, wszędzie ją znaleźć można". Tak sądzą o mnie koledzy. W ich oczach jestem tylko tamtą — kochanicą fryzjera. Mogą teraz wygłaszać dziesiątki przemówień na zebraniach, mogą nawet ci, którzy mnie obmawiali składać samokrytyki ale to pozostanie. Będę dla nich zawsze „kobietką".

— Widzisz co może zrobić taka paplanina. Wiem, że Krysia puściła tę plotkę, że blagowała o opowiadaniach sprzątaczek, o tej żonie i dzieciach. Po co ona to robiła? Nie wiem. Puściła plotkę. Zdaje się, iż niewielu wie, że to właśnie ona, ale wszyscy wiedzą o przemówieniu Włodzia na zebraniu Zarządu Dzielnicowego. Wtedy, zwyczajna mała ploteczka, opowiedziana wieczorem w „akademiku" do ucha Maryli — była już całą historią. Nie myślałam, że można taką plotką godzin wieczornych wywołać setki uśmieszków i zrobić ze mnie w oczach uczelni szmatę.

Patrzyłem na ładną twarz Ireny, na jej wystające nieco kości policzkowe, pięknie zarysowane łuki brwi, czarne włosy i nie wiedziałem co powiedzieć. Pochyliła się nad filiżanką i w świetle sączącym się spod abażuru ujrzałem złoty puszek na jej karku.

Odetchnąłem przyjemnym zapachem kawy.

KAZIMIERZ KUMMER
Uniwersytet Poznański

Prof. dr J. Hochfeld odpowiada na wątpliwości studentów UW

(Dokończenie ze str. 3)

zarobku, który gwarantowałby lepsze życie. Ale przecież wiecie, że aby dać ów wyższy zarobek, trzeba mieć z czego — tj. trzeba mieć ową masę towarową, którą by ludzie za pieniądze mogli kupować. Daleko nam jeszcze do owej komunistycznej obfitości dóbr i do owej komunistycznej moralności, które dopiero łącznie pozwolą wszystkim otrzymywać po prostu według potrzeb. Tymczasem musimy płacić według ilości i jakości pracy, musimy różnicować płace — a płace same są jeszcze niewysokie.

Czy są wyższe niż przed wojną? Trzeba przede wszystkim pamiętać o istotnych przesunięciach, które tu nastąpiły. Niezwykle podniosła się stopa życiowa chłopstwa pracującego, tj. tej masy ludności, której w Polsce międzywojennej było ponad 70 proc., a która cierpiała niezwykłą nędzę. Masy chłopów przeszły do przemysłu, wzrósł ogromnie fundusz płac roboczych.

Dobrze zarabiają pracownicy pewnych gałęzi przemysłu — takich jak górnictwo, hutnictwo itd. Zapewne gorzej zarabiają niektóre kategorie tzw. pracowników umysłowych, tramwajarze, pracownicy łączności itd. Stopa życiowa mas ludności w całym kraju podniosła się wydatnie. Ale liczne kategorie pracowników, wśród nich takie, które w latach międzywojennych zarabiały stosunkowo nieźle, dziś zarabiają jeszcze niezbyt wiele.

Ludziom, którym jest jeszcze ciężko, nie można tłumaczyć, że im jest dobrze. Ale nie znaczy to, że w tym stanie rzeczy możemy szybko dokonać przewrotu. Możemy — idąc tą w zasadzie drogą, którą idziemy — podwyższać produkcję rolniczą i przemysłową, podnosić ogólny poziom zarobków, dokonywać tych czy innych wyrównań w samej strukturze zarobków i wzajemnym stosunku zarobków pracowników różnych gałęzi gospodarki i różnych kwalifikacji. Ale jest to droga żmudnej pracy, żmudnego wysiłku, a nie droga „rewolucji" w płacach nominalnych. Każda inna droga — to demagogia, która masom ludowym i przede wszystkim tym, którym dziś jeszcze jest bardzo ciężko, może przynieść tylko klęskę i pogorszenie sytuacji.

— Niedobrze jest kłamać i „lakierować" — kończył tę część swej wypowiedzi prof. Hochfeld — niedobrze jest matce kol. Szellera, która zarabia mało, wmawiać, że zarabia dużo i że jej już jest dobrze. Ale trzeba widzieć, że 600 zł., które ona zarabia to jest suma, którą otrzymuje bezpośrednio. A to, że kol. Szeller uczy się na Uniwersytecie, że otrzymuje bezpłatną naukę, stypendium? Można by długo wyliczać (opieka zdrowotna, wczasy, zasiłki, premie itp.) to, co każdy pracujący otrzymuje drogą pośrednią — to też jest część dochodu narodowego i to bardzo poważna przeznaczona bezpośrednio na polepszanie warunków materialnych ludzi pracy.

A najważniejsze, że z każdym miesiącem, każdym rokiem jest u nas lepiej i od nas samych zależy w jakim tempie podnosić się będzie stopa życiowa.

Źle byłoby, gdybym Wam np. tłumaczył, że Wasze stypendia są wysokie i wystarczają Wam na dobre życie. Tak nie jest. Ale pamiętajcie w końcu, że w państwie kapitalistycznym ogromna większość z Was w ogóle nie mogłaby studiować, że zakres ilościowy i jakościowy pomocy, jaką otrzymuje dziś młodzież studiująca (dzięki czemu w ogóle może studiować i nie niepokoić się o swą przyszłość) jest całkowicie nieporównywalny z tymi ochłapami, jakie otrzymywała nikła ilościowo niezamożna młodzież studiująca w latach międzywojennych.

— W ludziach — zakończył prof. Hochfeld — tkwią ogromne pokłady romantyzmu, który — wsparty na wiedzy — góry może poruszyć. Dotyczy to szczególnie młodzieży. Ale romantyzm związany jest nierozłącznie z uczciwością, a uczciwość z prawdą. Trzeba mówić prawdę i uczyć prawdy. I trzeba jednocześnie — mówić prawdę — pogłębiać wśród mas znajomość rzeczy i spraw, podnosić świadomość mas na coraz wyższy poziom. Jest to jedna z ważnych funkcji posła w naszym ustroju.

*

Uczestnicy spotkania zadali kilka innych jeszcze pytań: wszystkie one jednak były tak lub inaczej związane z tematyką centralną. Atmosfera swobody i szczerości, forma bezpośredniej rozmowy — oto czynniki, które niewątpliwie wpłynęły na to, że uczestnicy spotkania mogli na zakończenie stwierdzić, iż spotkanie to dało im wiele.

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik".
Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18, ul. Wiejska 17/1. Telefony red nacz. — 841 24 Centrala 832-91.
Prenumerata POPROSTU Miesięcznie — zł 1,40, kwartalnie — 4,20, półrocznie — 8,40, rocznie — 16,80.
Administracja: RSW „Prasa", III Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11.
Drukarnia: RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.
Zam. nr 961. B-6-3878

Z przedfestiwalowych eliminacji

Oto zdobywcy I miejsca w eliminacjach środowiska poznańskiego w 1954 roku.

Zespół Taneczny Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu obecnie jeszcze usilniej i staranniej przygotowuje się do eliminacji, ponieważ pragnie zasłużyć na zaszczytny udział w V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów.

ZBIGNIEW GĘSIŃSKI
WSR — Poznań

Foto mgr Janina Kornicka

Podpatrzyliśmy wady, błędy i śmiesznostki studenckiego życia.

Przez cały rok dostarczało nam ono materiału do satyry.

Aż pewnego dnia posadziliśmy naszych kolegów w sali teatralnej i pokazaliśmy, jak wielu z nich wygląda na codzień: rano, wieczorem, w DS, w stołówce, na uczelni.

Śmiejecie się z udanego spektaklu. Śmiejecie się z bezmyślnych „laleczek wydziałowych", bałaganiarzy, brudasów, gburów, ponuraków i nadgorliwców.

Śmiejecie się z siebie. Wiemy, że nie obraziliście się za szczerą krytykę i jesteśmy przekonani, że ta krytyka pomoże i wam i nam.

STUDENCKI TEATR SATYRY
przy Politechnice Gdańskiej
(opracowano na podstawie korespondencji Jerzego Afanasjewa)

Studenckie rozmowy o szczęściu (7)

Przyjaźń

W dyskusji o szczęściu trzeba wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy: o stosunku ludzi do nas. Bo nie pomogą najszczytniejsze ideały, cele i walka o nie, jeśli nie będziemy czuli opieki, pomocy ze strony innych ludzi. Każdy odczuwa potrzebę posiadania wokół siebie grona przyjaciół, którzy zawsze przyjdą z pomocą, nie pozwolą się załamać w trudnych chwilach, dla których jest się kimś bliskim. Samotnik nie może być przecież naprawdę szczęśliwy; nie tylko dlatego, że on nikogo nie kocha, ale i dlatego również, że inni go nie kochają.

Cały sens życia można najprościej określić słowem miłość — ale nie miłość pojęta w wąskim zakresie dwojga ludzi (choć to też nie jest bagatelka), lecz głębokie umiłowanie człowieka. Ważne jest, gdy wokół nas jest grono przyjaciół, gdy czujemy równocześnie ich życzliwość i odczuwamy to, że nas kochają.

EWA ZUCHOWSKA
Uniwersytet Łódzki

Ja też szukam...

Stefan, mój kolega, powiedział kiedyś, że dla ludzi myślących celem istnienia winien być jak największy rozwój intelektualny. Zastanowiłem się. Co z tego — myślałem — że będziesz człowiekiem subtelnym, umiejącym odczuć piękno, odróżniającym wartości istotne od pozornych? Wszak śmierć twoja jest rzeczą równie oczywistą jak śmierć kołtuna, dla którego głównym sensem życia jest dobra posada czy miłość kobiety. Więcej — umiesz myśleć i dlatego lepiej od niego znasz bogactwo i urodę świata, ostrzej więc przeżyjesz teraz utratę tego.

Ach, nie mów „nie" — że żyłeś twórczo, że miałeś przecież cel swego trwania — swój rozwój wewnętrzny. Tak, wiem dobrze o tym, że nie byłeś nigdy prostacki, że czułeś smak życia i rozkoszowałeś się nim... tylko... Popatrz — widzisz siebie?

Oto niestrudzenie wzbogacałeś swój umysł w coraz większą wiedzę. Zdobyłeś wreszcie jakiś tam szczyt ludzkiego poznania. Pytam się — po co to? W tej chwili umierasz — wszystko zostaje stracone, przecięte raz na zawsze.

Inni ludzie będą żyć, świat się nie zmieni. Kto będzie wiedział, że ciebie już nie ma? Czym właściwie różnisz się od mrówki, która też zapobiegliwie krząta się koło swego maleńkiego szczęścia? Zaiste, po co istniałeś?

*

Jestem ateistą i sądzę, że każdy człowiek dobrej woli, jeśli stawia sobie jakieś wymagania intelektualne, musi zająć podobne stanowisko. Nie mogę więc widzieć sensu swego życia w czymś pozagrobowym — odpowiedź na pytanie „po co istnieję" muszę znaleźć w otaczającej mnie rzeczywistości.

I znajduję ją. Oto ona: istnieję po to, abym na tyle na ile mnie stać przyczyniał się do tego, by jaśniej stało się w zmęczonym sercu ludzkim. Ja tę odpowiedź muszę przyjąć. Muszę redaktorze! Bo jestem egoista i boję się rozpaczy. Bo chcę wiedzieć, czy życie moje jest naprawdę czegoś warte. Bo całym sercem chcę uznać za swoje hasło „człowiek to brzmi dumnie" a nie hasło „życie twe jest tak samo bezsensowne jak życie mrówki".

Ale tak trudno redaktorze powiedzieć, co to jest szczęście. Może to moment uspokojenia? A może szczęście to co innego? Może to moment gdy głowa „pęka" od buntowniczych, szalenczych marzeń... Czasem naprawdę ciężko mi, redaktorze. Czemu życie niesie ze sobą jeszcze tyle goryczy, bólu? Boję się. Bo chwilami serce mi zaczyna pokrywać pył ironii i zwątpienia. Ratuje mnie tylko wtedy to, co ostatecznie jest w człowieku najcenniejsze — wrażliwość na ludzkie cierpienie i umiejętność wzruszania się pięknem.

Cóż, szczęście to walka — tylko czemu chwilami taka trudna?

WŁODZIMIERZ BRANIECKI
Uniwersytet Poznański

O szczęściu dialog niedopowiedziany

Z.: Posłuchaj, mowa będzie o człowieku szczęśliwym. Urodził się w środowisku bogatym. Był wszędzie, brał udział we wszystkim, był wszystkim. Wczoraj był szczęśliwy, bo żona umyła okna w domu, a świat był ciepły, jasny, wiosenny. Dziś jest szczęśliwy, bo podrał honorarium z redakcji. W swoim przytulnym mieszkaniu, otoczony książkami, których złocone grzbiety są powodem wielu jego wzruszeń i drobnych radości, między maszyną do pisania i radioodbiornikiem — jest bezpieczny. Nic nie jest w stanie tej ciszy naruszyć.

Wojna? Nie będzie — dobrze; będzie — jakoś tam przeżyję. Mam się martwić na zapas i jutro i zawsze będzie szczęśliwy. Dlaczego? On tego nie wie. Mówi: Mam żonę i telefon.

Ja.: Twoje opowiadanie o człowieku szczęśliwym jest bardzo przekonywające. Pokażę ci jeszcze jednego człowieka szczęśliwego. Mój przykład, to Jerzy Urban.

Z.: Ach, więc pretekst do polemiki!

Ja.: Tak. Autor „Odprysków" (patrz POPROSTU nr 17) posiada „wytknięty wspaniały i porywający cel... ideę, w imię której warto żyć i działać" i zakłada z góry, że każdy człowiek — nie bójmy się tego wytartego, pięknego sformułowania — żyjący dla idei, winien być, jest szczęśliwy. Szczęście „jest potrzebne jak chleb, mieszkanie, słońce". Nie wiem.

Z.: I ja nie wiem. Uważam, że pełne szczęście człowieka — to fikcja. A przyjęcie tej fikcji, przekonamie, że jest się szczęśliwym, wyklucza, tłumi niepokój, ruch, dążenie — każde. Także — do porywającego celu. Twierdzę, że Urban upraszcza problem szczęścia, że nie zna i nie rozumie człowieka, który może mieć cel w życiu — i być głęboko nieszczęśliwy. Bo ma do tego swoje ludzkie powody.

J.: A niekiedy nawet bez powodu. Czy to, co teraz powiedziałem, to straszna „herezja"? Nie udawajmy, że posiadamy całą wiedzę o człowieku.

Z.: Doszliśmy więc do jakichś tam stwierdzeń. Czy chcesz, abyśmy wyciągali teraz wnioski natury ogólniejszej?

Ja.: Dajmy temu spokój. Różewicz w jednym wierszu mówi:

„Przyjdzie nieszczęście
za kark złapie
zaskomlisz
poznasz wtedy bratku
żeś nie gałązka ptaszek konik
ale dorosły człowiek
Człowiek
co śmieje się i płacze".

Z.: Jesteś mistrzem wnioskowania cytatologicznego. A mieliśmy dać spokój wnioskom... Przejrzyjmy nasze notatki. Czy nie uważasz, że nasz dyskurs ma charakter wielce ponury, że wykluczamy możliwość osobistego szczęścia człowieka?...

Ja.: Nie uważam. Przypomnę ci problem: szczęście — ale jakie?...

ZBIGNIEW KOSIŃSKI
JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ
(z Koła Młodych ZLP — Łódź)

Złudzenia i rzeczywistość

Wielu ludziom wydaje się, że są szczęśliwi. Dobra posada, mieszkanie, bujne życie rozrywkowe, przyjemności i przyjemnostki, pogoń za nimi — wypełnia im całe dnie i określa ich szczęście. Ale nagle przekonują się, że to nie to, że cały ten świat był tylko fikcją szczęścia.

Miałem kiedyś zamożnego kolegę. Był synem inżyniera. Można go było często spotkać w kawiarni, na wystawnych zabawach, w gronie ludzi podobnych jemu. Zawsze elegancki, uśmiechnięty, uprzejmy i zadowolony. Ktoś z boku pomyślałby, że jest rzeczywiście szczęśliwy. Spytałem go kiedyś: „Słuchaj Stefan, czy ty jesteś szczęśliwy? Czy czujesz się dobrze mając to wszystko?" Spojrzał na mnie zdziwiony i zaskoczony. Nic nie odpowiedział.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie, że zadałem mu takie natrętne pytanie. Aż któregoś dnia podszedł do mnie i w rozmowie sam mi powiedział: „Wiesz, twoje pytanie mnie gnębi. Te wszystkie przyjemności, spacery, dziewczynki, kawiarnie już mi się znudziły. Ani mnie to nie porywa, ani nie ciekawi. Nie tego pragnę w życiu. To jest złudzenie szczęścia, wierz mi".

Tak! To jest złudzenie szczęścia, ciasny świat zaskorupiałych manier i gustów, nieróbstwa i wyżywania się, stęchły świat mieszczańskich nawyków. Co dzień wyrzuca jak wulkan ze swego wnętrza zniechęcone, skwaśniałe istoty.

Nasze szczęście jest inne. Ileż go jest np. w pracy, w codziennym twórczym wysiłku. Pamiętam uczucia jakich doznałem ucząc kiedyś w szkole. Kiedy zrozumiałem, zobaczyłem, że to, czego uczyłem młodszych o kilkanaście lat od siebie, zostało przyswojone, że zdołałem im odsłonić maleńki skrawek ogromnej księgi wiedzy i to ich zaciekawiło — doznałem wielkiego szczęścia. Tak! Mówię szczerze — wielkiego szczęścia. Było to jak olśnienie. Pojąłem, że kształtuję charaktery i światopogląd tych, którzy wyrosną w naszej wspaniałej epoce na prawdziwych artystów, lekarzy, inżynierów, pisarzy, kto wie na kogo jeszcze. Zrozumiałem wtedy, że nie żyję bezczynnie, nie jestem pasożytem, że coś z siebie daję, że dzielę się tym, czego mnie nauczono. Zrozumiałem, że jestem potrzebny społeczeństwu. Wierzcie — to dało mi szczęście.

Mówią, że człowiek „goni za szczęściem". Nie zgadzam się z tym. Człowiek jedynie potrzebuje szczęścia, jak organizm codziennego pokarmu, jak natura wiosny. Szczęście jest niemal taką samą koniecznością, jak przyjaźń, miłość, radość i praca.

MIROSŁAW KOSIERKIEWICZ

Przedsierpniowe wycieczki

(Dokończenie ze str. 1)

przedfestiwalowy sens, jako że te sprawy ściśle wiążą się z tą wielką światową imprezą. Również np. dyskusja nad zagranicznym filmem może mieć wiele aspektów związanych z Festiwalem. Wystrzegajmy się jednak, by wzorem owego Zarządu Powiatowego, nie tworzyć jakiegoś festiwalowego worka, w którym wszystko się zmieści.

Jeszcze jedna sprawa uderza w przedfestiwalowych planach UW, SGPiS i wielu innych uczelni. Mianowicie ich jednostronność. W potrzebnej i pożytecznej powodzi spotkań, odczytów i dyskusji zapomniano, że Festiwal to również radosna zabawa, olbrzymi fajerwerk wszelkiego typu atrakcji. Ten ruch Festiwalu przepajać mógłby i naszą obecną działalność.

Bezpośrednio przed egzaminami i w czasie ich trwania nikt nie będzie miał głowy do odczytów i dyskusji, ale wiosenny bal, wesoły korowód, wycieczka, całe mnóstwo żakowskich igraszek (że je przy okazji przypomnę i zareklamuję) spotkają się z uznaniem najbardziej zapamiętałych kujonów. Poza tym z nastaniem lipca brać studencka nie zniknie z powierzchni ziemi, ale realnie i materialnie (od materia) istnieć będzie na praktykach, obozach, w brygadach żniwnych i na wczasach. Już teraz warto o tym pomyśleć.

Nie popadajmyż więc, przy tak pięknej pogodzie, w „intelektualne ponuractwo". Pokazać przecie możemy, żeśmy nie gorsi od Włochów, Anglików czy Hindusów, których regionalne festiwale i festyny były istną feerią wesołości i pomysłowości. Tu i ówdzie organizowana zabawa pod szyldem „przedfestiwalowa" — to jaskółki, które nie czynią wiosny... żakowskich igraszek.

Wyjdźmy na ulice miast, niech pojawią się na nich żakowskie stroje, przedziwne maszkary, nieznane tańce i pieśni, niechaj przypomniane zostanie ich mieszkańcom, że istnieją takie rzeczy, jak corsa kwiatowe i ognie sztuczne, komiczne konkursy i swawolne zabawy.

Takie są obok wielu innych, dwa aspekty przedfestiwalowej pracy, która naprawdę nie jest jedną z „akcji" do odbębnienia, bo wymagają tego siły wyższe ku utrapieniu studenta-szaraczka.

Tylko zapytacie — kiedy? Na pewno w maju, na pewno nie w grudniu. A może by tak już jutro po południu coś zdziałać?

J. U.

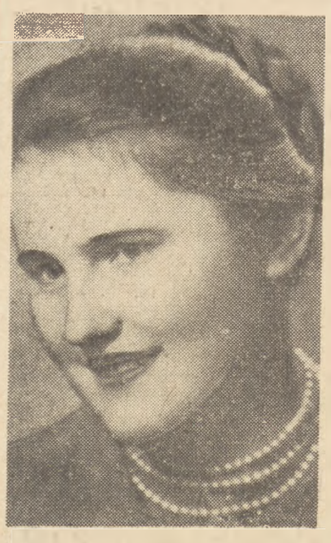

zdjęcie konkursowe nr 28

zdjęcie konkursowe nr 29

zdjęcie konkursowe nr 30

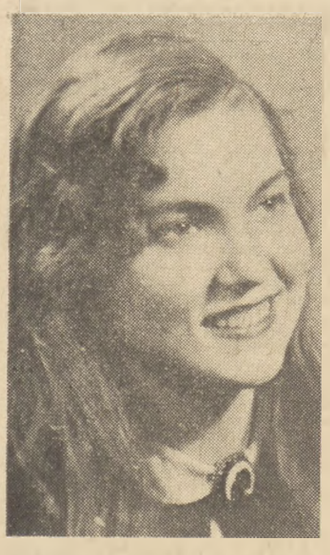

zdjęcie konkursowe nr 31

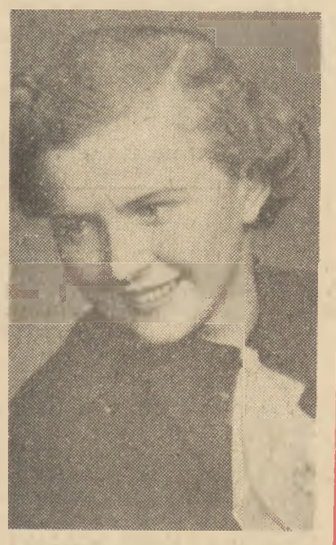

zdjęcie konkursowe nr 32

zdjęcie konkursowe nr 33

Sport Sport Sport

O współdziałaniu AZS i Studium WF

Tylko sekcja specjalizacji...

W poprzednim n-rze POPROSTU w artykule pt. „Rozwiązać AZS?" poruszyliśmy marginesowo sprawę współpracy między Studium WF a Akademickim Zrzeszeniem Sportowym na uczelniach. Dziś zajmiemy się nią bliżej.

Jak ma się układać ta współpraca, aby zarówno Studium WF jak i Koła AZS spełniały swe główne zadanie — usportowienie młodzieży studenckiej, stworzenie jej jak najlepszych warunków uprawiania ulubionej dyscypliny sportu?

— Czy słusznie niektórzy uważają, że wystarczyłaby jedna z tych komórek; że obecnie wykonują one tę samą pracę?

Naszym zdaniem — nie. Nie można utożsamiać działalności Studium WF i Kół AZS. Praca w zrzeszeniach sportowych oparta jest przede wszystkim na współzawodnictwie. Rywalizacja jest zasadniczym elementem sportu. Ważny jest też fakt, że młodzież studencka nie może znaleźć zadowolenia w obowiązkowych ćwiczeniach WF (chociaż są one drogą do osiągnięcia sprawności i tężyzny fizycznej) ponieważ nie znajduje tam ujścia jej dynamiczna energia, dążność do wielkich czynów i zwycięstw. Zadania te spełnia, a przynajmniej powinno spełniać AZS.

Tymczasem przeważnie obie omawiane komórki nie mogą się „pogodzić". Rezultatem — wzajemne zastępowanie się i nudne, nieatrakcyjne formy pracy. Co prawda w wielu uczelniach Studia WF i Koła AZS zadeklarowały współpracę, ale ogranicza się ona tylko do organizowania masowych imprez.

I jedynie w niektórych uczelniach zarysowuje się nowa, naszym zdaniem najlepsza forma współpracy. Między innymi forma ta przyjęła się i daje „zdrowe owoce" na Uniwersytecie Wrocławskim.

Historia jej powstania była bardzo prosta: z początkiem każdego roku akademickiego przychodzą na uczelnię grupy młodzieży bardzo różne pod względem przygotowania sportowego. Dla studentów zaawansowanych w jakiejkolwiek dyscyplinie sportu, zajęcia WF, oparte na zdobywaniu sprawności w ramach odznaki SPO, są mało ciekawe. Toteż niechęć studentów do zajęć WF wyrażała się w poważnej ilości zwolnień. Wobec tego Studium WF przy Uniwersytecie Wrocławskim postanowiło stworzyć odrębne grupy specjalizacji, gdzie znaleźliby swe miejsce amatorzy piłki nożnej, lekkiej atletyki czy gimnastyki. Pomysł „chwycił". Życie sportowe na Uniwersytecie Wrocławskim nabrało rumieńców.

Czy w związku z tym zmniejszyła się tu rola Koła AZS? Przeciwnie, zadania AZS wzrosły, a przy tym określenie „masowość sportu na wyższych uczelniach" zaczęło tracić swój fikcyjny charakter. AZS przejęło organizacyjne kierownictwo sekcji specjalizacji, zaś Studium WF zapewnia im fachowe szkolenie i wyposaża w sprzęt, co w znacznym stopniu przyczynia się do poprawy sytuacji finansowej Zrzeszenia, które nie jest w stanie zapewnić trenerów i sprzętu sportowego wszystkim studentom.

Oto co pisze o pracy w grupie specjalizacji kol. Lech Ziemek z Uniwersytetu Wrocławskiego:

„Przez długi czas niełatwo było uprawiać umiłowaną dyscyplinę sportu. Istniało Koło AZS, ale bez sekcji sportowych, gdyż brakowało pieniędzy na opłacenie godzin treningowych w salach gimnastycznych i instruktorów, którzy prowadziliby zajęcia. (Większość trenerów i instruktorów ZO AZS pracuje w sekcjach wyczynowych, do których nie legitymując się wyjątkowo dobrymi wynikami nie można się dostać).

Dopiero powstanie w bieżącym roku akademickim grup specjalistycznych przy Studium WF rozwiązało tę smętną sytuację. Powstała m. in. grupa specjalizacji pływania. Chociaż jestem studentem IV r. i WF mnie nie obowiązuje, zgłosiłem się na zajęcia prowadzone przez gr Wybieralską. Po pięciu miesiącach treningu zdobyłem III klasę sportową na Mistrzostwach Pływackich Uniwersytetu...".

Takich przykładów świadczących o słusznym i właściwym „pogodzeniu" obu komórek jest wiele... Wydawałoby się więc, że ustawienie współpracy między Studium WF a Kołem AZS jest na najlepszej drodze.

Działacze sportowi mają jednak nieco odmienne zdanie. Nie bierzemy pod uwagę opinii jednego z kierowników Studium WF uczelni wrocławskich, który uważa, że gdy „ciągna dwa konie to jeden zdechnie", (bo definicja ta jest niesłuszna nawet w odniesieniu do koni). Są jednak poważne głosy, do których należy się ustosunkować. Otóż praca trenerów w grupach specjalizacji wymaga o wiele więcej godzin niż przewidują to limity odpowiednich ministerstw. Niektórzy trenerzy pracują w dodatkowych godzinach społecznie, ale nie można tego od nich wymagać na stałe.

Skoro MSW pochwaliło projekt tworzenia grup i zaakceptowało go w swym programie, to konsekwencją tego posunięcia powinno być rozszerzenie limitu wynagrodzeń nauczycieli WF. Słusznie domagają się tego działacze i zawodnicy. Bo chociaż sprawa wynagrodzenia trenerów jest zaledwie częścią kłopotów tychże działaczy — trzeba jednak, aby została właściwie rozwiązana.

O innych „zakulisowych" sprawach studenckiego sportu — w następnym artykule.

BARBARA KOŁACZ

Mgr Szelest wprowadza dziewczęta w arkana wiedzy z dziedziny lekkiej atletyki.

Telefonem z kół A·Z·S

KRAKÓW

Studium Wychowania Fizycznego oraz Koło AZS przy Politechnice Krakowskiej zorganizowały w Międzynarodowym Tygodniu Młodzieży turniej piłki koszykowej z udziałem reprezentacji sześciu wyższych uczelni krakowskich: AM, WSWF, UJ, WSR i AGH.

W wyniku eliminacji do finału zakwalifikowały się drużyny: AZS UJ — po zwycięstwie nad AGH, WSWF — wygrywając z AM oraz Politechnika Krakowska, która pokonała reprezentację WSR. W finale drużyny grają systemem „każdy z każdym". Walka o pierwsze miejsce rozegra się między WSWF a Politechniką.

POZNAŃ

W ramach przygotowań do V Akademickich Mistrzostw Polski w boksie, bokserzy poznańskiego AZS rozegrali w Inowrocławiu spotkanie z tamtejszym „Kolejarzem" (wicemistrz pomorskiej A klasy). Spotkanie to rozstrzygnęli na swoją korzyść w stosunku 13:7, wykazując dobre przygotowanie techniczne i kondycyjne. Na najlepszą notę zasłużyli Swis oraz Wolski. Publiczność stolicy Kujaw nagrodziła „Azetesiaków" licznymi brawami.

ŁÓDŹ

Wzorem lat ubiegłych wznowiono w Łodzi rozgrywki o mistrzostwo Ligi Uczelnianej Politechniki w piłce siatkowej, koszykowej i tenisie stołowym. Celem Ligi Uczelnianej jest umasowienie i rozpowszechnienie gier zespołowych.

W Lidze Uczelnianej biorą udział tylko reprezentacje poszczególnych lat, które w rozgrywkach eliminacyjnych zdobyły awans do Ligi. W reprezentacjach roku mogą brać udział również niezrzeszeni w AZS.

WARSZAWA

W sali gimnastycznej ASP od dłuższego czasu znajduje się drukarnia. Starania Zarządu Koła AZS zmierzające do odzyskania jedynego na całej uczelni pomieszczenia sportowego nie odnoszą rezultatów. Podobno są możliwości przeniesienia drukarni, ale niestety, brak chęci umożliwienia sportowcom ASP załatwienia tej sprawy.

Kącik satyry zagranicznej

Węzeł gordyjski

ERICH KÄSTNER

(pisarz niemiecki)

Aleksandra Macedońskiego pamiętamy jeszcze z lekcji historii. Pamiętamy też anegdotę o słynnym węźle gordyjskim. Otóż gdy Aleksander wkroczył do Gordionu i usłyszał o kunsztownie zadzierzgniętym węźle, którego dotychczas żaden człowiek nie zdołał rozplątać — natychmiast kazał się tam zaprowadzić. Obejrzał sobie słynny węzeł ze wszystkich stron, zastanowił się nad słowami wyroczni przepowiadającymi ogromne powodzenie i szeroką sławę temu, kto go rozwiąże; potem szybko się zdecydowawszy wyciągnął swój miecz i przeciął węzeł w pół.

No tak. Żołnierze Aleksandra oczywiście wiwatowali, sławiono inteligencję i oryginalność młodego króla — nic w tym dziwnego. Muszę jednak powiedzieć, że gdyby moja matka mogła być przy tym — byłoby inaczej. Kiedy jako chłopiec — ani o włos mniej oryginalny i inteligentny od Aleksandra — rozwiązywałem splątany supeł w ten sposób, że bez długiego namysłu dobywałem miecza czyli scyzoryka, aby go przeciąć — wówczas musiałem wysłuchiwać od matki poglądów, które diametralnie przeczyły zdaniu wyroczni i ogromnie zaskoczyłyby wiwatujące wojsko macedońskie.

Aleksander był, jak wiadomo, wielkim bohaterem: Persowie, Medowie, Hindusi i Egipcjanie drżeli przed nim w dzień i w nocy. Ale moja matka nie przyłączyłaby się do tej trwogi. „Węzłów się nie przecina". — powiedziałaby surowo — „Tak się nie robi, Olesiu! Sznury zawsze się przydają".

I gdyby Aleksander Wielki nie umarł tak młodo, lecz dożył sędziwego wieku, doszedłby pewnego dnia do wniosku: „Nie można powiedzieć, żeby wtedy w Gordionie owa pani Kästner nie miała racji. Węzłów się nie przecina. A jeżeli się to jednak robi — żołnierze nie powinni wiwatować. A jeżeli żołnierze wiwatują, to przynajmniej nie powinien nikt wpadać z tego powodu w zarozumiałość".

Rzeczywiście dziwne, prawda? Przysiaduje ktoś fałdów, z wielkim nakładem pracowitości, sprytu i zręczności sporządza węzeł, splątując go w tak wyrafinowany sposób, że żaden człowiek na świecie nie potrafi go rozwiązać. A historia nie przekazała nam, kto dokonał takiej sztuki! Za to wiemy... kto wyciągnął scyzoryk!

Żyj swoim szczęściem...
(„Eulenspiegel")

Historycy od tysiącleci mieli słabość do silnych ludzi. Na kamiennych tablicach, na zwojach papirusu, na pergaminie i w grubych księgach zachwycali się ludźmi, którzy usiłowali rozwiązywać problemy uderzeniami miecza. Natomiast znacznie mniej interesowało ich plątanie się nici losu w nierozwiązalny splot, a już zupełnie nudziło pisanie o tym, jak dziwaczni idealiści chcieli takie zawęźlenia losu pokojowo rozsupłać. Zainteresowanie ich kieruje się ku temu, kto rozcina węzły, toteż niemało przyczynili się oni do tego, żeby stare gordyjskie metody utrzymać w poważaniu i przy życiu.

Mieliśmy niedawno znów przyjemność osobiście asystować przy tym, jak taki węzeł rozcinano szablą, zamiast go mozolnie rozsupływać. Było to niesłychanie interesujące i włosy dziś jeszcze stają nam na głowie dęba (o ile nie wypadły). W czasie, gdy na międzynarodowych konferencjach delegaci z całego świata męczą się, żeby rozplątać tworzące się wszędzie nowe supły — znów gdzieniegdzie (i nie na szarym końcu u nas!) wynurzają się zwolennicy teorii szabli i warczą. „To wszystko bzdury! Po co się długo cackać. Najprościej — równiutko przerąbać!"

Chyba już najwyższy czas, żeby zamiast węzłów zacząć przerąbywać ludzi, którzy dają takie rady.

„EULENSPIEGEL"

Pokrzywy

Życie... życie...

Byłem na zabawie. Trudno wciąż tańczyć, szczególnie, gdy coś strzyka w kolanie. Takie ciągłe stryk-pstryk wybija z nastroju i rytmu. Szczęściem było więcej nie tańczących. Przysiadłem się do nich, rozmawialiśmy.

— Życie — powiedziała uchodząca za intelektualistkę Irena — to ciągły ból głowy na hałaśliwej ulicy.

— I tak trudno jest dostać bilet do kina — zawtórowała jej uchodząca za realistkę Magda.

— Życie to postęp od jednego braku do drugiego — oświadczył rozkochany w Irenie Tadeusz.

— I tak mnie zęby bolą — uzupełnił wielbiciel Magdy, Romek.

— Życie jest obrzydliwą, i niestety, bardzo zaraźliwą chorobą — zacytował znany amant Wacuś.

— Wczoraj widziałam jak samochód przejechał psa — dodała ostatnia ofiara znanego amanta.

I dalej potoczyła się rozmowa według znanego wzoru: Tramwaje (że przepełnione), mężczyźni (że zmienni), profesorowie (że bezlitośni), Zakopane (że daleko), nylony (że drogie), głowy (że bolą) i choroby (że liczne).

Obok mnie siedziała drobna blondynka, która jakoś nic nie mówiła, aż ja pierwszy się do niej zwróciłem.

— Ja — odpowiedziała mi — lubię życie.

— Ja też — dodałem jej odwagi.

— A gdy już coś lubię, to ojej! — uśmiechnęła się ciepło, serdecznie i przekonywająco.

— Ja też — powiedziałem jeszcze bardziej przekonany.

— Na przykład miód na śniadanie, albo słońce, albo śnieg, albo włosy poczochrane wiatrem.

— Szczególnie włosy — zgodziłem się.

— Jest duża różnica między naszym podchodzeniem do życia a ich postawą.

— Ogromna! — potwierdziłem.

Reszta towarzystwa nudziła się i kwasiła, a nam było bardzo dobrze. Co więcej — wiem z całą pewnością, że życie nas wciąż podsłuchuje, i że mści się na tych, którzy źle o nim mówią.

GAR.

Z teki konkursu na satyrę studencką:

POSTANOWIENIE

Jeszcze tylko jeden kącik:
„Jak się daje mata"
i kupię POPROSTU
zamiast „Dookoła Świata".

J. M. — CZĘSTOCHOWA

AFORYZMY

Jedząc obiad w stołówce akademickiej nie należy patrzeć na to, co się je.
Może zaszkodzić.

*

Gdy dwoje ludzi zaczyna domyślać się swej miłości do siebie — wie o niej dobrze już cały wydział.

*

Nie wszystkie projekty robione w Politechnice powinny być pracami samodzielnymi.
Niektóre koniecznie należy uzgadniać między dwojgiem osób.

*

Udając się na uczelnianą zabawę nie należy przypuszczać, że będzie nudno.
O tym należy wiedzieć.

*

Miłość jest rzeczą piękną.
Po cóż więc psuć piękno pytając o wzajemność?

*

Często się mówi, że stopień jest miernikiem wiedzy, gdy tymczasem bywa odwrotnie.
Wiedza jest miernikiem stopnia. Oczywiście wiedza profesora o wiedzy studenta.

ANDRZEJ WOSZCZAK
Warszawa

PRZED EGZAMINEM: *rys. Zbigniew Lengren*

— Nigdy bym się nie ośmielił. Panie mają pierwszeństwo.